



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.
Przedstawicielstwo redakcji na AUSTRO-WĘGRY: JAKÓB GESZWIND, WIEDEN, (Hauptstr. 147).

Prenumerata roczna (na pocztie) — 40 marek, półroczna — 25 marek, kwartalna — 14 marek.

Zeszyt pojedynczy 3 marki. — Przesyłka pod opaską 15 fen. za zeszyt.

Prenumerata na Austro-Węgry roczna 64 korony — półroczna 32 korony — kwartalna 17 koron.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCJI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — Odpowiedzi na listy za nadesłaniem marki pocztowej. — Rękopisy bez nazwiska autora i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — Redakcja nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wilhelm. 17
Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

W przededniu nowych zadań

zbiór studiów o polskich zagadnieniach gospodarczych.

Zawiera prace następujące:

- T. Adamczewski — Przyszły Bank biuletowy w Polsce
- Dr. St. Pernaczyński — O emi i not ziemskich
- Dr. Z. Karpński — Rola złota i polityce walutowej przyszłego państwa Polskiego
- Dr. E. Rose — Król Polakie a Galicja — Drogi zbliżenia gospodarczego
- Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem
- Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polskiem
- Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo węgla i nadreńskie a reemigracja
- Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o towarzystwach akcyjnych
- Dr. Marjan Głowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarstwa narodowego
- Stanisław Marciniak — Wpływ wojny na finansowe połączenie rolnictwa w Wielkiem Ka. Poznańskiem

Cena mk. 10.—



załatwia z członkami wszelkie interesa bankierkie.
Polityki na przystępnych i dogodnych warunkach.
Papiery wartościowe jako pewna i korzystna lokacja kapitałów.
Rachunki oszczędnościowe z wielkimi dogodnościami dla wpłat i wypłat.
Udziały członków przynoszą 8 procent dywidendy.
Wkładki i oszczędności oprocentowuje od dnia złożenia pieniędzy po 3, 4 i 4 1/2 procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Inowrocław (Hobanalska).

ZDRÓJ

ROK 2 WRZESIEŃ 1918

TOM IV ZESZYT 5

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE
I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Białe cienie — Jerzy Hulewicz (przyozdobił Jerzy Hulewicz). Ekspresjonizm, Słowacki i Genesis z Ducha — St. Przybyszewski. U poetów — Miriam. Opowieść rybalta — Wacław Berent. Z cyklu „Opium” — Claude Farrère (spolszczyła Jadwiga Przybyszewska). Na marginesie Don Kiszota — Michał Sobieski. Zgląda domu Usher’ów — Edgar Allan Poe (przełożył Stan. Wyrzykowski). Na wiejskim cmentarzu, Powrót — Kazimierz Jaworski. Taras Szewczenko i Polacy — Fr. Rawita-Gawroński. Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyt oryg. — Jan Jerzy Wroniecki. Drzeworyt oryg. — Artur Swinarski. Ze zbioru Franza Pfemferta: Rysunek — Aleks. Archipenko. Chrzcziciel (podług drzeworytu) — Georges Minne. Rysunek — Eli Nadelman.



Leda (drzeworyt oryg.) — Jan Jerzy Wroniecki.

BIAŁE CIENIE



kłębiają się myśli w migotliwych promieni nocnych skrzyżowaniach.

Wszystkie w omylności pławione i w błędzie; wszystkie omamie podległe, nocnym powolne ognikom moczarów, co rade uściskiem zimnym w swe łono wtłaczają ciemnego wędrowca.

Iżby nie potraçały a ścierały się wzajemnie (póki sprawuje się rząd przykazany, który omamy jest dziecięciem i wiecznej niemyśli) — przeto omijają się...

Krąg maleńki jest — jako ośrodek pajęczy.

Drgnienia są (Życia pozór) — krwi udanej czerwień w suchych krąży żyłach i w takt bije godziny robione a w zegarze więzi wolny ruch wszeczczasu (Ruchu kłam)...

Więźniel

Rozkosze więzienne jeszcze życiem są.

Ciemni moc i moc milczenia.

Nagły — bez wróżebnego znaku (któż go bowiem odczuje, ujrzy, gdy martwi są i ślepi?) błysk daleki...

Kto błysnął? Kto zaświecił? Cisza (jako przykazano).

Aż oto rozkołysze się nieba fala a błyskawicy trzask rozpruje ciszę błękitną, a straszliwy uderzy grom, zbudzonego Boga przesywający krzyk — — — Wola grzmi — grzmi Mus! — — — Wyważonych, zgruchotanych drzwi leżą drzazgi rozsypane po więziennnej przestrzeni i szydzą kamiennej przykazań więziennych tablicy. — — — Drgnęła siatka pajęcza.

Maleńki krąg siatki o jedno rozszerzył się oko.

Co wieków sześć — co wieków sześć — — —

Nastał wiek ów po wieków sześć.

Kłębią się myśli, w omijaniu bieżą wzajemnem — jedna znika drugiej, ta trzeciej się oddala, przelata dziesiąta, w bliż setnej płynie, ginie tysięczna i stu-tysięczna... Ostatnia dzwoni.

Boga słyhać zwiastowanie.

Staje zegar, co więził wolny ruch. Krążenie krwi udanej w suchych żyłach stamowane, przykazanych godzin takt zmylony.

Gwiazdy trącają się wzajem poniechawszy bezwolnie biegu nauczoność, gnane niepojętą siłą przed się i wstecz — i tu i tam — i tu i tam...

— — — Rozdzwoniony przestwór mirjady globów przelicza, iż w zamęcie tym i w chaosie tym i w zerwaniu powrósał kunsztownych (sześciu wiekami mocnych) glob się o globy trąca, gwiazda tyka się gwiazdy, słońce słońcom się spala.

Płyną Cienie...

Niemy przestwór łaknie Słowa.

Planety dwie w bezbrzeżu toczą się chaosem, magnesem ku sobie kłonione — trącą się — raz... i wtóry... aż oto po jednej płyną linji, ku jednemu promieniowi zginionemu gdzieś...

Płyną Cienie dwa — a Nicość jest, bo jest wtedy, gdy niema Trójcy w Duchu.

Niemy przestwór Słowa łaknie. Z Woli rodzi się Słowo i płodem jest Cieni Białych, co wypełniają sobą przestwór ciemny.

— — — Ostatnie zetknięcie dwu Planet, dwu Cieni...

Miłości żar (Ducha Rodziciel).

Przemienienie Planet obu (obu Cieni).

I oto w Jedni Białych Cieni zestrzelił się przestwór cały. Zbiegły się słońce dzwoniące łańcuchy i rozkołysały w ogniu dusze.

Bóg zamieszkał tam wraz z całym tworem Ducha swego, wraz z Anioły przedziwne i tajemne Szatany.

Raj jest. Szczęśliwość Białych Cieni.

*(Hiii! — świszczce coś, zgrzyta urągliwie... Ziemia! Ziemia!
Mrowie ziemne przekłete a jednak ukochane w bólu. Hiii! — —)*

Przemienione płyną Białe Cienie.

Rozjaśnia się przestwór ciemny i rozłunają się mleczne gwiazd drogi. Goreją.

Spaliły się własnym żarem, spaliły się Planety obie.

Zrodziły Glob z popiołu swego, Glob, co począł się z Słowa.

I jął się toczyć poprzez przestworza promienne i siłą pociągnął za sobą ciał niebieskich zerwane łańcuchy i jeden wskazał kierunek...

Gwiazdy trącą się wzajem, gnane niepojętą siłą przed się i wstecz — i tu i tam — i tu i tam.

Kłębią się myśli w migotliwych promieni nocnych skrzyżowaniach...

JERZY HULEWICZ.



STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

EKSPRESJONIZM — SŁOWACKI
I „GENEZIS Z DUCHA“

VI. SŁOWO CHRYSZTUS I SŁOWO GLOBOWE.

Zbyt krótko zbył Słowacki tę przedgenezyjską pracę Ducha, gdy jeszcze Duch się nie był znalazł na skrzepniętym, wodą — „Panią Słowa, ciał naszych trzecią¹⁾ miesięczną twórczynią“ — na innym miejscu „matką wieczną łez, córą globową“, przez Słowackiego nazwaną, — z udreki ognia wyzwolonym globie — zbyt krótko i zbyt ogólnikowo, a jeżeli co, to ostatni ten przedgenezyjski okres nastroczał potężnej, majestatycznej fantazji Słowackiego olbrzymią przestrzeń do rozpozarcia swych skrzydeł od jednego bieguna do drugiego, — jeżeli gdzie, to tu właśnie mogły przewspaniałe tęcze jego wyobraźni oskrzydlać tysiącami kolistych fal to fundamentalne:

„Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie — a jam był w Słowie.“

Widocznie lękał się wyraźnie zerwać z pojęciami religijnej spekulacji chrześcijańskiej — a raczej z dogmatem kościoła, — starał się na wzór Philona łączyć gruntowne pojęcia z nauką kościelną, wikłał się, popadał w sprzeczności, tak że często ma się wrażenie, że to, co mówi Popiel w „Królu Duchu“, Słowacki sam o sobie mówi: „nagle uczulem, że myśl moja wściekla — brzękla i rojem pszczoł z rąk mi uciekla.“

W nauce Słowackiego Słowo — Chrystus ewangelii Św. Jana — przetwarza się na Słowo — równoznaczne z „Duchami Słowa“, Chrystus sam — a więc Słowo Jana żadnej roli w Genezis nie odgrywa.

Chrystusa identyfikuje Słowacki w „pierwszej rozmowie z Helionem“ jak najwidoczniej z Bogiem starego testamentu: „on był w raju przytomny“ i „Ciebie ja widzę w krzu ognistym, że na pustyniach egipskich pokazujesz się Mojżeszowi, i Ciebie widzę, że na górze Taboru wyświełony Mojżesza przyzywasz.“

Może Chrystus jest tą emanacją Pra-początku (*Břodos*), która da się wyrazić, ponieważ jest niewyrażalnym, li tylko milczeniem (*Σιγή*). W tem milczeniu tkwi gdyby milczenie-myśl o Początku — a myśl Początku rodzi się jako Nus (*νοϋς*), zwany również Pra-Ojcem, Początkiem wszelakiego, wszech jedno-

rodzonym. Równocześnie z nim powstaje prawda. On jedyny jest w stanie pojąć początek przed początkiem, nienazwanego Boga, Boga, który jest ponad wszelkiem możliwym określeniem istotności Boga.

Ten Bóg dopiero rodzi według chrześcijańskiej Gnozy (Basilides — Valentinus — Ptolomeusz) „Słowo“ i „Widzialność“ (*Λόγος* i *Σωγή*) jako początek pleromy.

W tym wypadku byłby Bóg Słowackiego onem Nus Monogenesem, Twórcą Pleromy — „Słowa“, a najbliższym Bogu — Monogenesowi Duch Słowa, to „Słowo“, które się ciałem stało, to on potężny złoty Anioł, który nie dopuścił ognia do swego łona, ale już w piątej pracy światło z siebie wydobył: Chrystus!

Utworzyłby się zatem następujący łańcuch:

Bóg: Bythos, Sige, Nus (Monogenes), Alethaja.

Ta pierwsza czwórka:

Bytos, Sige, Nus, Alethaja („Anioł Składu“?)

twórcy plerome, „pełni ojcowskiego łona“, czyli logos i jej „widzialność“ (*Σωγή*), a Chrystus, jako pierwszy i najpotężniejszy Eon Logosu jest niejako drugim Bogiem (*δευτερος θεος*), a więc Bogiem starego testamentu — Bogiem Światła — pra-słońcem.

Może tego Chrystusa-Słońce miał Słowacki na myśli, pisząc o onym „Aniele złotym z rozwiniętymi włosami, silnym i porywającym, który jedną garść globów pochwylił, zakręcił nią jak tęczą ognistą i porwał ze sobą“: — to znaczy, stworzył świat planetarny?

Boć to jak najwidoczniej odpowiada pojęciu Słowackiego, Chrystusa, jako Starego Testamentu.

On to rzekł: „Niech się stanie światło i stało się światło“, którego przemienieniem — ogniem — tak srogo ukarał — duchów, którzy sobie ciemność obrali i w ciepliku się rozleniwili.

Lęka się Pawlikowski utomożsamić Matkę Boską z wodą i pierwiastkiem miesiąca, który jako jej symbol sierpem stanął u jej stóp, a jednak najwyraźniej było to w pomysle Słowackiego, gdyż woda jest „pierwiastkiem księżycowym“, miesięczną jest twórczynią, a raczej obronicielką od ognia „pierwiastku grzechu“ — żeńskim „demiurgiem“.

Stąd nawet w kulcie chrześcijańskim nazwana ziemia: „padołem płaczu“, „łzą grzesznika“, na którą matka Boża księżyc na ziemię zlała, by ukoić gniew, jakim jej Syn-Światło ogniem glob nawiedził.

Zupełnie niewątpliwem jest, że Słowacki do-kładnie był obznajmiony z mistyczną teorią Boehmego, według której „Aniołowie zarówno jak ludzie, wyszli z „Przyrody mrocznej“ (Pleroma, pełnia łona Bo-

¹⁾ Atom ziemski składa się z trzech pierwiastków: ognia, wody i światła. Światło odgrywa rolę odkupiciela, woda — obroniciela — ogień jest pierwiastkiem grzechu.

skiego) i dostają się, albo dostać się mogą wskutek wysiłków swoich do ośrodka światła; sam tylko Chrystus wyszedł właśnie z tego ośrodka światła (to znaczy w nauce Słowackiego: „on duch czystszej i odkupionej natury“) dowolnie zastąpił w otchłanie, gdzie przebywa dusza ludzka, przyswoił sobie żywioły, wśród których ona walczyła, ukształtował sobie z pośród trzeciego pierwiastku ciało, które miało, uduchowiając się, stać się podobnym do tego, jakie wedle myśli Bożej winien był posiadać człowiek pierwotny“.

Tym trzecim pierwiastkiem, jak już wiemy jest woda, a więc według Heraklita, który twierdzi, że „wilgoć jest śmiercią dla dusz“ — onym punktem zgęszczania się pierwiastku lotnego — żywiołowi dusz — w materią. A może tu jakie pokrewieństwo z nauką Thalesa z Miletu, że wszystko z wody powstało?!

Może więc słowa Boehmego, że Chrystus, „stąpiwszy do otchłani, gdzie przebywa dusza ludzka, przyswoił sobie żywioły, wśród których ona walczyła, ukształtował sobie z pośród trzeciego pierwiastku Ciało“ — oznaczają to, że wtedy dopiero porodził się z „wody miesięcznicy“ — Odkupicielem?!

Jakkolwiekby Chrystus w „Genezis“ nie odgrywa żadnej roli, w genezyjskiej pracy nie bierze nigdzie żadnego udziału, rolę swoją jako „wódz i przewodnik sprawy Bożej na ziemi“ spełnia poza obrębem globu ziemskiego, conajwyżej opiekuje się nią.

W „otchłani“ dopiero ukształtował sobie to ciało, które miało, gdyby nie grzech „zaleniwienia“ stać się podobnym temu, „jakie winien był posiadać człowiek pierwotny“, jak Boehme mówi.

Chrystus jest zatem „pochodzenia świetlnego“, pozagłobowym duchem „Słowa“, który rowieszony na słońcach i gwiazdach nie wpuścił ognia w siebie, ale wytworzył światło, czego duch w ciemności pracujący dokonać nie zdołał.

Zstępując na ziemię, jako człowiek, staje się Chrystus, gdy z wody, trzeciego pierwiastka, ukształtował sobie Ciało, pierwoiudącym duchem, tak się przynajmniej wydawać może z inwokacji w pierwszej rozmowie z Helionem: „O Chrystusiel teraz Cię widzę najwyszym Duchem ziemi, albowiem tyś przyniósł świętą tajemnicę Trójcy świętej“.

I że Chrystusa tak Słowacki pojmował, mimo że w „Genezis“ o tem nie wspomina, świadczyłby ustęp z „Wykładu nauki“, w którym, zgodnie z komentatorami Pisma Świętego porównuje Chrystusa z Lewiathanem:

Świat — na którym Lewiathan, jako król pierścien swój położył — nie mając w formie stworzenia

wyższego nad siebie, musiał naprzód pod mocą Lewiathana stanąć, jako pod najwyższym sztandarem, oczom jego powierzyć wypatrzenie nowej formy, zaufać mu jako czasowemu opiekunowi i przed Bogiem uznać go adwokatem stworzenia. A wtenczas on, ów wąż rozplomieniony, Słowem będąc globowym, prosił o złamanie formy i prawa, „niby Bóg jaki zwierzęcy“ (to znaczy: Bóg starego testamentu, Bóg wszelkiej kreatury) „w chwilowem natchnieniu modlitwą wzbity nad własną naturę... Tę samą misję, po Chrystusie obejmuje pierwoiudący Duch w narodzie: Król-Duch“.

Z tem pojęciem Chrystusa, jako najpotężniejszego, pierwoiudącego Ducha Słowa, który — raz jeszcze powtarzam „w otchłani się ucieleśnił“, a mocą swoją jako pierwszoporodzony słoneczny Eon Pleromy, stał się niejako modelem tego człowieka, któryby mógł być człowiek, gdyby Duch nie był dopuścił w siebie ognia, zgadza się to, co Słowacki mówi w „liście do Rembowskiego“: „Duchy więc globu są przeznaczone, aby złamały same (teraz już same) karmiąc się sakramentalną siłą Chrystusa, te uciemnienie formy, które z grzechu rajskiego wyniknęły... Moc duchowa Chrystusowej natury jest ideałem naszego kształcenia się“.

(Ten „grzech rajski“ jest tylko dowodem, do jakiego stopnia język Słowackiego jest przesycony mitologią chrześcijańską, i w błąd wprowadzać nie powinien.)

Chrystus ma być najwyższym ideałem i jest zapowiedzią najwyższego człowieka:

„Bo przyszedłeś i obiecałeś nam — Chryste — że w Tobie odrodzeni do podobnej potęgi w ruszaniu morzem i ziemią dorostniem.“

Wtedy, gdy ten ideał człowieka-Chrystusa osiągnięty zostanie, rozmnoży się Chrystus w nieskończoną ilość Chrystusów: W walce ostatecznej o święte miasto, o „Jerozolimę słoneczną“ — pójdzie do szturmowania „sto tysięcy, milion Chrystusów — na koniach wszyscy, jaśniejszych od słońca“.

Przez materję jednakowoż musi się człowiek przebić, by mógł się stać Chrystusem — to znaczy słoneczną światłością:

„Duch! pracowniku przedwiewowy! ty wiesz także, że w tobie leży pierwiastek światła uwieczniający ciała — święty przeciwnik ognia, twój kiedyś w dniach ostatecznych przemienca... Pierwiastek ten odkupienia, który w przyszłości twarze formy cudownie ozłoci, cieniem tylko pokazał się w głębi żywiołów“...

Tak więc zdaje się być niewątpliwem, że on anioł złoty, to pierwoiudący Duch, wódz Duchów, którzy na pra-słońcu swą pracę rozpoczęli i światło z siebie wywiedli: Duch-Odkupiciel: Chrystus!

Duch globowy ukarany ogniem, przez Boga-Monogena, ogniem, którego „świętym przeciwnikiem“ jest światło, otrzymał jednak odrobinę światła, które się ukazało. „Cieniem tylko w głębi żywiołów“, miesięcznicą-wodą został uratowany od doszczętej zagłady, zżużenia się, i wtedy trzej pierwojdący aniołowie:

„słoneczny, miesięczny i globowy z sobą zetknięci ułożyli się o pierwsze prawo zależności i wagi, a jam odtąd począł porę oświeconą nazywać dniem, a czas światłości pozbawiony nazwałem nocą“.

To słowo „ułożyli się“ jest bardzo niejasne.

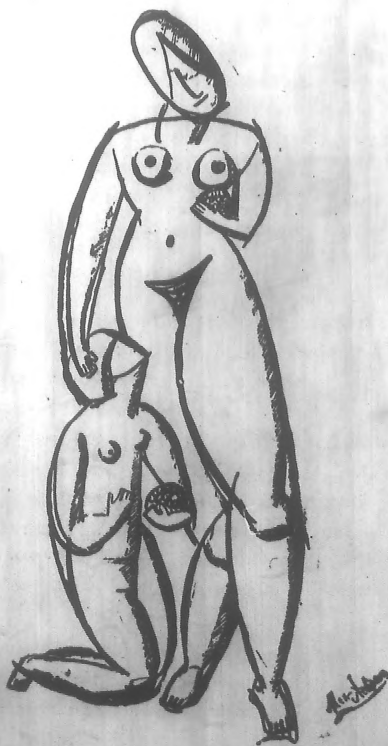
W liście do Rembowskiego pisze Słowacki o „Aniele składu“ — „który formy żadnej nie czyni, ale w objawieniu się dalszą formą duchom globowym dopomaga“.

Ten „Anioł składu“, to najwidoczniej poetyczne, (a więc nieściśle) określenie tej pierwszej gnostycznej czwórki, którą już poznaliśmy: Bythos, Sige, Nus, Alethaja, z której to czwórki wyloniła się Pleroma: „Pełnia ojcowskiego łona“: Słowo.

A więc pod wpływem Anioła składu została ostatecznie uporządkowana zawisłość globu ziemskiego od słońca i księżyca — i teraz już duch globowy usamotniony, prowadzi dalej swoją kształtotwórczą pracę:

„Wieki minęły o Panie, a duch mój ani jednego z tych dni minionych nie spoczął, lecz ciągle pracując, myśl nową o kształcie zamieniał w kształt, zgodziwszy się ze słowem globowym stanowił prawo a następnie prawu się poddawał własnemu, aby na tak położonym/fundamencie stanął i nowe wyższe duchowi drogi obmyślał“.

(C. D. N.)



Rysunek — Alek. Archipenko.

U POETÓW

JOHN KEATS.

ODA DO GRECKIEJ URNY.

I.

Oblubienico miru nieskalana,
 Cisz wychowanko, czasów długiej zimy,
 Puszcz dziejopisko, co ludzkiego rana
 Opowieść kwietną śniesz lepiej niż rymy:
 Cóż za baśń w liści oplocie się ślania
 Po twoim kształcie — bóstw? śmiertelnych? dwojga?
 Błōń-ż to Arkadji, czy Tempejskie ściany?
 Ludzie-ż to? Bogi? Skąd tej dziewy trwoga?
 Ten gon szalony? struchłałość pierzchania?
 Bębenki, fletnie? Cóż za szal pijany!

II.

Słodką melodja, lecz tej niedostyszonej
 Słodycz stokrōtna; grajcie, nieme fletnie;
 Nie dla zmysłowych uszu, lecz zaciszny,
 Myślny, dla ducha niech brzmi dźwięk sekretnie;
 Piękny młodzianie śród drzew, nie w ich doli
 Zrzucić liść, nie w twej — przerwać pieśń aeda;
 Kochanku, nigdy-ć słodko nie oddźwiękną
 Jej bliskie usta — nie smuć się atoli:
 Ona nie zwiędnie, choć szczęścia ci nie da,
 Tobie — wciąż kochać, jej — wiecznie być piękną!

III.

Ach, szczęsne, szczęsne gałęzie, co liści
 Nie mogą stracić, ni „żegnaj!” rzec, Wiośnie;
 Szczęsny i grajek, który w bezkorzyści
 Gra wciąż pieśń swoją, wciąż nową, radośnie;
 Szczęśniejsza miłość! stokrōć szczęsna miłość!
 Wciąż palająca, wciąż żądna rozkwitu,
 Wciąż rozedrgana i wieczyście młoda;
 Wyższa nad duszną żądz ludzkich zawilość,
 Po której serce — trosk pełne, przesytu,
 Głowa — w gorączce, język — spiekła kłoda.

IV.

Cóż to za orszak nadchodzi z objatą?
 Przed jakiż ołtarz, wrōzu tajemniczy.
 Jedwabno-sierstną, zwieńczoną bogato,
 Jąłówkę wiedziesz, co ku niebu ryczy?

Cóż za miasteczko — nad morzem? u rzeki?
 W górach? — pod strażą warowni szczęśliwej,
 Wyludnił tłum ten w oną jutrznię białą?
 Miasteczko! już twe ulice na wieki
 Zmilkły; i żaden nie wróci duch żywy,
 By rzec, alaczego-ś tak opustoszało.

V.

Attycka formo! Cudny kształcie! zdobny
 — Mężów i dziewic marmurowym ludem,
 Gałęzmi borów, źdźbłami trawy drobnej;
 Milcząca formo, za kres myśli — cudem —
 Nęcisz, jak wieczność — — Sielanko sieroto!
 Gdy z nas, dzisiejszych, już nic nie zostanie,
 Inne, niż nasze, poznasz bóle, nieba,
 Lecz, družka człeka, znów dasz mu wskazanie:
 „Piękno jest prawdą, prawda pięknem“, — oto
 Co wiesz na ziemi, i co wiedzieć trzeba.

MIRIAM.



Chryściele (podług drzeworytu) — Georges Minne.

WACŁAW BERENT

OPOWIEŚĆ RYBAŁTA

(C. D.)



dzie śmierć przez miasto, nocą, w poburzonej czas, a zbiry grodzkie za nią w trop, a chyłkiem, — nie aby zaczepiać ją śmieli, lecz by się wszystkiego wywiedzieć, jak każe szpiegów rzemiosło.

Widzą tedy, na ulicy złotników i płatnerzy wychyla się z okna osoba otyła i wszczyną

po nocy larum żalobne. „Ludzie wy moi! goliard, słyszę, umarł!” A sąsiedzi zaspane wychylają z alkierzów oczy i gęby wciąż jeszcze zaokrąglone łękiem burzy. Cóż to za osoba taka ważna, by aż po nocy?...

I jedyna oto w mieście całym wielbicielek Muzy powtarza sąsiadom to wszystko, co w nią wgadał było przypadkiem żongler zaproszony wczoraj do łoża:

„Jakże, nie wiecie, ludzie?!... Człek że to w Salerno i w Paryżu bywał! fizyki i lekarstw u mistrzów nauczony! w filozofii biegły, dysputacyi artysta!...”

„Cicho tam, pań, po nocy bądź! bo na ratusz weźmiemy!” — zawarczą pod jej oknami zbiry.

Ale jejność nie była z lękliwych. Zapewniwszy zmarłemu pocie cześć i pamięć wśród ludzi, odbiega w głab' alkierza po swe kosztowne pierścienie, za jęlmężną wyzwolenia dla jego duszy. Aż ją mąż w tem pohamować musiał. Dobywszy się z pod pierzyny, sam w czepcu nocnym, jak i ona, przekłada kobiecie u okna, że lepiej było to wszystko dać w porę żywemu, że, przez taką szczerłość niewczas, śmierć sama wypysznia się tylko nad życie, a wszystko, co było, nad tem, co jest.

Ale serce kobiece tkliwsze bywa zazwyczaj na śmierć czyją, niżli na najsmutniejsze bodaj życie. Wszczęła się tedy kłótnia między małżonkami, — co sumieniu ważniejsze: życie czy śmierć? i kto bardziej szanowny: poeta żywy, czy umarły? — Wysprzeżawszy wszystkie racje swoje, postanowili nakoniec ofiarować świecę patronowi wagantów, świętemu Julianowi ubogiemu, — co i mniej rozrzućne będzie i bardziej pomocne duszy czyskowej.

Pochwalili to widocznie sąsiedzi, bo niebawem zamykać się jęły okna wszystkie.

I gasły światła po wnętrzach.

Na teźże ulicy, widzą zbiry, mży za szybami światło czerwone i rozjarza się co chwila żywszym blaskiem. Zdawna mają zbiry baczenie na te okna: kacerz w nich mieszka i ponoć, jak czarodziej, pracownik.

„Spać! — krzykną. — Nie kusieć zła i śmierci, które błakają się dziś po grodzie i okolicy.”

Z trzaskiem otwarło się okno wykusza. Ukazała się w niem postać ogromna, w skórzanym fartuchu, z ramionami obnażonemi po łokcie, a z gębą ognistą, jakby od kuźnicy blasku. Naprzód chrząchnął piersią potężną i splunął zbirom na łby.

„Pracuję”, — rzecze.

A usłyszawszy z opodal kogo śmierć obwołuje za łup swój ostatni, wychylił się z wykusza.

„Bój się Boga, jędoż czarna, gdzieś ty go już uląpić zdążyła?!... Toć wczoraj na summę goliard tu pod memi oknami przechodził, — a pić ze mną nie chciał, bo się do kościola śpieszył. Zasię wieczorem, pod wiechą gospody, widziałem go. I wychodzącego nocą z igrcami przez wywaloną bramę. Czyżby i on ranion był na ulicach?... W polu, powiadasz, za murami, zmarł?... Bodaj to! Mnie w murach tego przemierzonego grodu zdechnąć nawet przyjdzie!... Daj Boże wagantowi odpoczywanie wieczne.”

„Żadnej ci jałmużny pod nogi! z okna nie wyrzucę, — wychrząchał za chwilę. — Chodź tu na górę; może ci co dam, gdy uprosisz przy dzbanie... O! (uradował się pomyślowi swemu) za goliarda, który wczoraj pić ze mną nie chciał, chodź-że ty mi dziś w zastępstwo, skoro się za jego duszę w grodzie podawasz. Dobry mł dziś będzie przy dzbanie i taki bodaj kmoctr ponury. Cni mi się bardzo tej nocy w samotności mojej. I łeb, i ramię nie do pracy dziś; potrzaskano mi wczoraj bardzo głowę — u miasta bram. Śwista w niej jak w miechu i kuje w skroniach jak na kowadłach... Chodź mi na stypę po pocie i śmierci bodaj sama!”

Zbiry pod murem aż się w tył pomkną w prze-
razeniu. Bo oto po schodach domostwa rozlega
się tupot kroków. Słychać klucza chrzęst w bramie.
I wytacza się oto z kuźnicy swojej ten kowal tajem-
niczy, z głową (jak teraz dopiero widzą) snadź ranną,
bo ukutaną w chusty.

„Chodź ze mną pić! — krzyczy. — Nie zczu-
cisz mnie strachem. Wiem przecie: tyś z Misercordyi
tajnego znaku, a nie śmierć prawdziwa.“

Ona wionie na bok z kirów szelestem. I zasta-
wia się dłońmi przed szaleńcem zuchwałym...

Zgonił ją jednak, ułapił, jak tę dziewczkę oporną.
I wiedzie we wrota domu swego. — Przymknęły się
zbiry bliżej, po drugiej stronie ulicy. Za węglem
ostrożnie ukryci, widzą pod beczkowem sklepieniem
schodów, jak na stopnie, piętzące się stromo jak w dra-
binie, wkracza powoli ona, wysuwając co chwila z pod
kirów białe kostki stopy swej długiej.

Na stypę po poecie wkracza śmierć w kuźnicę
pracy ponocnej.

Ni to izba mieszkalna, ni to komora rzemieś-
lnicza, raczej spichrz chyba: bez powały całkiem,
otwarty aż po stropowe więzania domu. Za dnia
dachówki tam pewnie widać, teraz, po nocy, ciem-
ność jeno ponura zwisa stamtąd na wewnątrz całe.
Bo żuźle na kuźni, przed miechem, rzucają cały blask
swój ogniasty w czeluści nawisłego dymnika, a bokiem
zamrok już tylko ścielą czerwony, — aż po te balaski
nawisłego w izbie ganku, aż po tę zieloną polewę
pieca, wielkiego jak chałupa. I mienia się te blaski
kuźnicy, skrzą tu i owdzie, na żywych spizach, któ-
rych pełno wszędy.

Dziwne kształty!... Oto drzwi do ambony ko-
ścielnej, w spiziu kute. Na nich, wśród kunsztownego
poplotu liści, jakoweś pół-mężę i pół-tygrysyce w obję-
ciach grzesznych, jakoweś centaury, smoki, dziki,
sprośne małpy i rozszalone lwy... Pogaństwa majaki?
czy piekielny upióry? czy może żądź i szałów czelczych
wyobrażenia, na przestraszenie sumień w kościele?
Bo nad tem wszystkim koguta widać: ptaka czuj-
ności i pokuty. — Tem ci bardziej niepokoi sąsiedz-
two takie: kacerza tu może robota potępiona? —
Oto u podstawy olbrzymiego świecznika, działywa-
nego przy samej kuźni, widać jednożca z głową na
łonie dziewicy, — za figmentum Zbawiciela
u łona Matki. I owo: jelenia u strugi, — obraz duszy,
żądź zbawienia.

Alic tu obok: śmierć tańczy z mnichem zakap-
turzonym. Na ratusza wieżę działywane to jest, by,
co godzina, pod hejnał, wyskakowała ta para z budki,
na swe płasy przed oczyma ludzi. Machina ku temu,

cała z kół zębatach, już się, — widać pobok, —
przez mistrza obmyśla, buduje i klepie... Kształtów
z gliny lepionych, których tu nie brak wokół, nie
rozeznasz wcale, bo płachtami przykryte, — dla na-
gości niesromnej? czy dla kacerstwa może, zatajonego
w ich wyobrazeniu? — niewiedzieć!..

Gospodarz, jakby odgadując zdziwienie nawet
pod tą larwą krzyżową na licu czełka, przyprowa-
dzonego tu z ulicy, powiada od proga:

„Zdumiewają zawsze grodzian te kształty u mnie
ogładane. Rzeką: czarodzieja jaskinia, w której wy-
kuwają się postaci wyższego piękna i okrutniejszej
mocy, niżli w życiu... Dawniej, gdy kościół budowano
w grodzie, jam cały — duszą i dniami wszystkimi, —
był przy tej robocie. Dzisiaj, jam za dnia plat-
nerz, zbrojistrz pański, by owo kęs chleba do
gęby mieć. Temi czasy, jakie w grodzie naszym
nastąpiły, jam nocą już tylko sobą — i dawny Bożego
Domu kowal, żywych spizów mistrz!“

Co mówiąc, usadzał gościa w głębokiem krześle
u stołu, — a godnie: na ręczniku podłożanym. Za-
czem dobył z puzdra dwa szacowne puhary; prze-
tarł je, wydmuchał, jak trzeba, i napełnił winem
ze dzbana.

„Na goliarda... — mówi siadając naprzeciw, —
na wędrownego poety wspomnienie!“

Trąca się, brzękną szklenicami.

I piją pod rozdzwon ten.

Gość imał się czarki przez rękaw przydługi, —
garścią czarną. Skrzywił się na to płatnerz, widząc,
że gburu snadź do się zaprosił. Więc pijąc, wyziera
ku niemu niechętnym zezem przez kielicha szkło.
I postrzega, — jak pod uchwytem tej łapy, puhar
jego szacowny, gdyby do wnętrza się wślaczał: —
przewęzała się szklenica za klepsydę wewnątrz sypką.

Odstawia tedy stary kielich swój, kułakiem
gębę i wąż przeciera, — alic ani śladu tego wszy-
stkiego nie było już przed oczyma. Patrzał było przez
wrąż puhara, a spojrenie przez kryształ jest, — wia-
domo, — niedobre. (Stąd wiedźmy i wróżki ciemne
uprawiają żarliwie tę magię patrzenia w kryształ.) —
Koniec końców widzi przed sobą teraz tyle tylko,
że gość, wsunawszy kielich pod larwę na licu, wy-
chylił go zacie do dna.

A nic tak przy dzbanie nie rozbraja i nie cieszy,
jak taka rzetelność w picciu. Więc, czełek gościnnie,
zapomniał niebawem o swem niedobrem spojreniu
z przed chwili. I nalewa czemprędzej po raz drugi.

„Tam owo, w kącie, przy kuźni, — pogaduje
z dzbanem w rękę, — piętzy się aż ponad dymnik —
świecznik siedmioramienny; wiję się wokół niego

Drzewo Życia... Nie odlewów sposobem rzecz tę buduję, lecz kowam to w żelazie od lat dziesięciu — dla kościoła... Tak, od lat dziesięciu!..“

„Wina zasię zbraknąć nam nie powinno, — nalewa po raz trzeci. — Przedałem bo wczoraj zbroję, na którą kupca znaleźć nie spodziewałem się wcale. Kowałem ją sobie przez lat cztery, — akuratnie wedle żonglerowych opowieści o Parsifalowej zbroi. I znalazł się przecie taki, który ją kupił!.. Pewnie zapatrzył się był on rycerz w moje wrota kościoła, na których działałem wszystkie kłęski rodzaju człeczego, od wygnania z raju począwszy, a skończyłem ostatnią nadzieją człowieczeństwa, wedle wierzeń moich... Za sprawą tej zbroi zakupionej wszczała się wczoraj ona bitka na ulicach i u grodu bram. Stąd i moje dziś guzy i rany na łbie. Nie żałuję... Ucieleśniły się spiże moje: wyruszyły z kościoła wrót na nowe szukanie Graala... Plone było o nim słowo żonglerów, nie wskrzesiły go w życiu i poetów gęśle: — posag jeno ze spiżu budzi przeszłości wielkie i wyprowadza w życie bohatera, jak z kościoła bram. I rozwala wszystkie mury zniewolenia, a zacieśnił żywota naszego... My to jedynie działywać potrafimy, żywych kamieni i spiżów mistrze. Bowiem sztuka nasza jest służką nieśmiertelności!“

„Mhm!.. Mhm!..“

Nie podobało się gościowi słowo chyba ostatnie bo tak zachrząchał i wstrząsnął się raptownie, jakby pod chłodu skądś zawiewem nagłym. I zębami nawet kłapał pod tym ziąbem, niewiada skąd.

Aż płatnerz zapalił czempredziej lampę na stole; — zawsześ jaśniej nieco: widać przynajmniej, z kim się gada. Ale gdy wprzód, w czerwonym blasku kuźnicowych żużli, tak błyszczwały, zda się, tamte źrenice za krzyżową larwą, — teraz, w skośnem, a rdzawem świetle oliwnicy, zgasły jakby te oczy zupełnie. I widzą się w tej chwili na kształt dwóch jam czarnych.

„Uu!..“ — natrzasa się płatnerz nad ponurością takiego kmotra przy dzbanie.

I tknie go znienacka, jakby palec w jedno z tych ślepi wrazić chciał.

Aż on cofnąć się musiał wraz krzesłem. Lecz, że się nie obraził, a swoje wypilił znów rzetelnie, więc napelnili się znowu szklenie: „Mileczek to jakiś, nie rodził się, widać, pod horoskopem Merkura, który ludzi rozmownymi czyni. I niech go tam lichol.. Na to człek z drugim rad pije, by się sam mógł naga-dać.“

Więc pogodziliby się rychło przy dzbanie, gdyby nie to, że gospodarz nagłym ruchem odstawił oto kielich i ciężko wsparł głowę na kulaku. Pot kroplisty w jednej chwili wysączył mu się na czoło; poczerwieniała szyja, posiniały skronie...

Nie rychło przyszedł do siebie. A gdy odsapnął, jął kłać na czym świat stoi:

„Łeb mi wczoraj porozbijali już nazbyt u grodu bram... A i bez tego przytrafiały mi się ostatniemi czasy one zaszumy i zawrotności, — jakbym się w piekła czeluść zwał za żywa!.. Że z onych to prac pomocnych w zawziętem czynieniu dzieł swoich, — powiadał mi wczoraj lekarz na odpuszcie. — No, i ze dzbana! — mówił. — Jakim że miechem mam dmuchać na tę kuźnicę wewnętrzną? Z serca i ona wszak zapalność do roboty idzie? Że się przepala z czasem i serce człeczce, — powiadał, — nie podola. — Więc niech go szlag!..“ — zerwał się z przed stołu z tą kłatwą na samego siebie.

„Hm!..“

Ale mistrz nie baczył na te pomruki. Piłno mu było otworzyć okno wykusza, by przewietrzył resztki tego zaszumu z głowy, wziąć w miechy płuc dech świeży. Powłókł się za nim i kamrat od dzbana.

Między poburzonych chmur okłębę wyptywał właśnie nad mury księżyc obrzymi, ni ten okręt z Zamorza, który po przetrwaniu nawałnicy dopływa oto do portu. I wywiesza swą latarnię zaświatów, która grodu mury w zamki-niewiady odmienia i zagrobomem jakby tchnieniem owiewa postaci człeczce w oćmie światła tego.

Zbiry i stróże ukryci za węglem ulicy jęli w tej chwili pokazywać sobie palcami siwobrodą na wykuszu postać mistrza, a przy nim oną zmorę w kirach, z larwą krzyżową na licu. On że to: — odbiorca dzieł z kuźnicy samotnika, trudów jego nocnych poplecznik, czarów sztuki kupiec.

Od wylotu ulicy złotników i płatnerzy spoziera na tamtych obu kościoła pierś. Nad rozłogiem schodów, w okolu dzwierzowej wnęki, pod ustrzapieniami baldaszkami, stoją tumo stróżki przesmukłe, Bożego Domu gospodynie. Wwiała smuga księżycowego światła na kościoła schody, nasączyła oćmy srebrzystej we wpuklinę wnijścia i uderzyła blaskiem, jak w zwierciadło wielkie, w bronzowe odrzwia, — na których mistrz działał wszystkie kłęski rodzaju człeczego, a zakończył ostatnią nadzieją człowieczeństwa — wedle wierzeń swoich.

Górą zasię, nad połamane płachy dachów, wypiętrzały się widmowo obie wieżycy tumo, połyskując koronami u czoł podniebnych. Nad niemi gwiazd roziskrzony beziki w ciemnym granacie nieba. Ni to ogon komety, zawiasę między storczykami wież, wyrzucała się w przestworza droga mleczna, — ni to gościniec błędnych rycerzy, wabiący tajniami świata, czasów i ducha, — aż po nieukojów wędrowniczych kres: po Monsalwatu zamek sam i Graalową w nim czarę!..

Mistrz jakby zaczerpnął oto w płuca dech głęboki, bo aż ręce na piersiach skrzyżował:

„Ćwierćwiecze zaledwie, połowę może tylko lichego życia mego, oddałem wrotom twoim, — opoko rzeczy wiecznych!..“

„Mhm!.. Mhm!..“ — zachrzętał tamten drugi w nagłym znów niepokoju. I zatula szyję kirami swemi, jak gdyby złąb gwałtowny powiał nań od kościoła wież.

„Chłodno“, — przytwardza pocziwie gospodarz. I, zamknąwszy okno, powrócił z nim do stołu.

„Na wędrownego poety wspomnienie!“ — powtarza, nalewając czarki.

I piją pod rozdzwon zderzonych puharów, — tym razem jakoś bardziej żalobny.

„Hejże! to nasze przebicie się wczoraj! — pogaduje gospodarz. — I e heu!“

Zwieszał głowę w przypominaniu.

„Fides! — spes! — caritas!.. Ledwie ujrzal wczoraj w oberzy żywe zjawy tych zdawna marzonych spizów, a zasiékano mi w przebojach miłość i nadzieję. Tak i w doli mojej!.. W upartych przebojach przez mury zacieśnień grodzkich legła miłość i nadzieja moja. Wiara w życie wyższej piękności i mocy tuż z nad kościoła progą odjechała ponoć, na księżyc... Tak i w sercu mem kacerskiem, które w rojeniach poetów i żonglerów więcej szukało, niżli w kościele samym... A w oddaleństwie od ducha powszechności na bezmiłość i beznadzieję skazało się samol...“

Pogiął mu się kark, po kolana zwiśla broda siwa.

„Czas sam chce, byśmy ustąpili innym ludziom, — inny stawa się duch powszechności... Hej, zamilkł trubadary pańskieli i ty goliardzie, któryś owo zmarł i wy żonglery, ostatni opowiadacze o Graalul — pora wam pono ustąpić duchowi grodzian. A i mnie z wami, — bo inne już po grodach budują kościoły...“

Gdy sięgnął teraz po dzban, już nic naleć nie zdołał, — wysączyli go do dna. Nad pustemi szklenicami pochylił się obaj.

I uderzył w te głowy wypróżnionych kielichów smęt.

W ciszy, jaka nastala, slychać bylo pod dachem jakowes chroboty; wnet potem kwik ohydny, tupotliwe uganianie się, góra, — i nagle plusk, jak w wodę, opadających gdzieś na izbę szczurów. — Rdzawe światło oliwnicy, krzyżujące się w powietrzu z blaskiem dogasających żużli, rozsznuwało jakgdyby w kuźnicy pajęczyny smugi. Chyżo zwiżał się snadź po tych niciach tkacz tej przędzy, w ciemnościach kątów, gdzieś między szczurami, ukrywając swe cielsko pajaka — z krzyża białym znakiem na grzbiecie.

Śmierci brat, trudów człecznych grabarz, osnuwał w sino-srebrzyste całuny zaprzepaszczeń wszystkie żywe spize.

Chodzi mistrz tam i sam pod tym namiotem ciemności, nawisłym nad śpichrzową kuźnicą. I z nawyku chyba, lub dla myśli samotnych rozpodgodnienia, dostępuje czasami do dzbana i czarki. A że puste, więc z pomrukiem kroczy znów po izbie. I już z niechęcią spogląda na kamrata tej nocy, który pił, bo pił rzetelnie, ale za poczęstunek nawet nie porozmawiał. Gospodarz już się dosyć było nagał; niechże teraz gość coś powie.

„Niemy-ś?!“

I rozdrażniony nagle tą larwą na jego gębie, doskoczy doń znieacka, by mu zerwać zasłonę z przed twarzy. Lecz tamten uchylił od tej napastliwości; a tak dziwnie łagodnie, tak wiotkim przejęciem się w pasie, tak falistym ruchem ramienia, — że gospodarz zmieszał się niespodziewanie.

Człek pijany, choć gburnym się stawa, roz-wrażliwione ma bardzo oczy i uszy.

Więc ten gest niespodziany sprawił, że staremu uczyniło się na duszy jakoś delikatnie, — kawalersko. Na tapczan prosi. „Miękkol“ powiada, klepiąc miejsce wskazywane tuż przy sobie... „Jakie powstanie z miejsca wspaniałe! jakie płynności królewskiego chodu!“ — baczny mistrza okiem, na kształty i ruchy zawsze czujnem.

I w tem zdumieniu pomrukuje do się: „Chyba to nie mężczyzna?... Kto ich tam wie, — w Mizercordyi tajnym znakul... A gdyby tak traf nastęrczył dzisiaj...? Hml Lepsze to podczas niżli winol“

Więc nie dorywa się już gburnie, lecz za rąbek larwy licowej ujmuje.

Przedziwnie miękkie uchylenie się od tej ciekawości; a w tej odmowie tak przekornie wabny i pięćciwy gest, zgarnianych ku piersiom ramion, tak niepokojny szelestek kirów u stóp a kolan tak trwożne — uchl — zatulenie się przed r a p t e m, sprawiły, że, człek krwisty, rozpałił się w oka mgnienu. Wiew kobiecości uderzył mu w nozdrza, zdzielił jak obuchem po łbie nietrzeźwym.

Już ją ma przy piersiach. „Szczupła jednak ogromniel..“ — rozczarował się w pierwszej chwili. — Bierz lichol! Schrupie dziś i taką chudziźnę, choć, pewna, że wolałby pulchniejszą... Ta zaś piekielnica się widzi, — jak to chude zazwyczaj, — bo w tem szamotaniu taka smaczna się czyni!... Nie pora mu delektować się obliczem, by najpiękniejszym, — nie stara się już odchylić licowej zasłony. Już tylko,

na wznak ją przeginając, podrywa gwałtownie te jej szmatki u kolan.

Ujrzał piszczał i kostkę za łydkę całą, gnat biały za udo i, pustą aż po krzyż, miednicę kości łonowych.

Odrzuciła go groza pod piec. I zatargła własnymi jego rękoma ten łeb nietrzeźwy. Nieufając swym oczom, podbiega do stołu, chwytając w garść lampę, podejmuje ją wysoko. I patrzy z pod dłoni.

Na tapczanie leży szkieletem nagim śmierć w postaci własnej, — kir stargany osunął się na podłogę.

Pot kroplisty, już po raz drugi tego wieczora, jał mu zalewać czoło. I znów poczerwieniła szyja, posiniały skronie. A żyły tak się wzdęły na nich, że słyhać było nieomal w izbie bicie tych pulsów. A gdy mu i garście oto własne rozchyłać się jęły przed oczyma jakimś skurczem drgawkowym, sam instynkt rzucił go w stronę okna.

Ona zerwała się wobec tego z tapczana i zbliża się doń.

Widzi przed sobą tylko tę jej czaszkę, w tej chwili ponuro opuszczoną na zębra, a tak śliską na ciemieniu i potylicy, że się odbijał w niej kuźnicowych żuźli blask, łącząc z niej samej, gdyby spiz żywy po nocy.

On już tylko włos wicherzył nad czołem i przysłał dlonią oczy.

A gdy znów spojrzął, widzi ciemnię tych oczodolów bez dna i tę ohydę nagich, zębiastych szczęk pod zapadlinami policzkowych kości, — co wszystko czyniło wyraz tak gorzko urągliwy: „Czego ci żal w życiu?!”

Zadumał się jakby nad jej pytaniem niemem. A ramię wyciąga poniewoli w stronę kuźnicy. Aż, z głębi piersi chyba wydarte, zalkanie wstrząsnęło nim nagle:

„Świecznika przed ołtarz nie dokończę kościolowi!...”

I widzieli stróżę, a zbiry z ulicy, jak przy otwartym oknie wykusza pada oto na klęczki chłopisko to olbrzymie, jak wtula twarz i brodę w jej kolana, — jak szłocha całem ciałem u nóg pani Śmierci.

Ona to chyba podjęła go z klęczek i usadowiła przy stole, na swoim już teraz krześle: — sama gospodarzy w tej chwili. Oto dzban, już wysączony, za jej ręki dotknięciem napelnia się winem po wręby. A że mistrz zamilkł, przemówiła teraz o n a.

„Byś się nie bał — powiada, nalewając mu szklenicę. — Zuch! — uderza i rozdzwania puławy. — Z jakim żeś ty djabełem pakt zawarł za cenę własnego

życia oddanego spżom?... Choćbym ci przedłużyła dni twoje, wiem: strawisz je wszystkie w utrudzeniu samotnem — nad tem owo Drzewem Życia, za resztę własnego żywota... Pocoć to, człecz?... Pij! Zuch!... I odeło-ż się to serce na życie i ludzi, ku najsmutniejszej dla się doli, w czynieniu dzieł nad życia miarę i kres. Taksę się to do mnie wciąż palił, — wieczności opętańczył Do mniel...“

Poklepie go po twarzy kostkami długiej ręki, a pod stołem aż zawierza z radości, zatupoce chrześtnymi stopami.

„Hal ha! — do mniel Choć pewnie wolałś bardziej otyle? Tylko że ja nawiedzałam cię często w samotności twojej, a te pulchniejsze, — panie ze świata, — rzadko kiedy zaglądały do ciebie. A tyś ich szukać nie raczył, — z wierności dla mnie. Hal ha! — dla mniel — (jęła znów wierząc jurnie pod pod stołem). — Oto masz-że mnie wreszcie całą, — masz!... Prawda, już się tam, na tapczanie, sam wprzódy dobierał do wdzięków wyteńsknionej. Dam, ci, dam pieścizoty moje wszystkie, rycerzu ty mój tęskliwy!“

I w pochrześtnych skokach, a zagrzechotaniu kości wszystkich, rzuca mu się na szyję, wtula na kolana i w piersi:

A, odrętwiałego grozą, chce widocznie upieścić oto, zagrzać ku sobie najlechotliwszym powabem swoim. Bo tą jedwabistą śliskością ciemienia, a potylicy głaszcze mu policzki; pod wargi mu podsuwa czaszkę swoją.

W trupiemi tchnieniu tych kości, tuż u twarzy, odrzynie samej na wspak, zdziałał się czar: z dna serca wyrwała się wspomnień zwidem... jakąś głowina złoto-falista w rozkwieconego sadu promieniach, — zuchowate czoło radości dziewczęcej, — zatulonych rzes łzawa nagle rosistość, — rąk opalonych jabłonkowe u skroni zapachnienie, — żar, który wargami dziewczyny w policzki mu uderzał, jak nasłonecznionego okwiatu osypem, — i usta własne, wtulone w różę chyba... gdy dwa nagle serca zabiły mu w piersiach!...

Stara tymczasem, odgadując zazdrośnie te wspominki jego, powiada głucho:

„Przed wami to, minionych złud, minionych śnieh bezpowrotne chwile, przed wami, miłośnicze zazdrośnie — zatańczy tu dziś ze mną kochanek mój!... Patrz, dokończony już dzban i tej uludy ostatecznej, jaka jest w kielichu samotnych. Jeszcze kropel kilka... Pij! Zuch!... Może dopijesz się wreszcie tej prawdy człeczego istnienia, jaka jest w kropkach ostatnich: — nigdy już! — nie powtórzy się niel — nawet sen o szczęściu już się nie przyśnił...“

Z chciwością opoja wysączył te krople nikle z dna kielicha: wziewał piersią już tylko woń puchara — za ostatnie tchnienie życiowych wspomnień.

I trzasnął mu w tejże chwili puhar w dłoni; aż z okrwawionej wraz garści wytrząsać musiał kryształ szczyrby. Tem ci większym zuchem zgłasza śmierci swą gotowość: — i na tę dumę stać winno czeka! Grabi palcami długą po pas brodę, wąsa podkręca, w bok się ujmując:

„No, Kostusiul — podaj-że mi rączkę na ten taniec twój.“

Ona tymczasem przeciąga się w ramionach, jak ten siłacz ocknięty. A wytrząskawszy z przegubów ociążałości wszystkie, spręży nagle gnaty, piętą skrzese przed sobą ochotę, przytupnie kostkami stopy... I zaklaska w grzechotki rąk:

Rozhulałeś we mnie ducha:
hej! zatańczy dziś Kostucha!
Na śmiertelną płasawicę
ksienię z kurwą razem chwycę,
zrównam pany i żebraki:
każdy skoczek mi jednaki,
żwawe wszystkie taneczniki:
opat, prior, kanoniki!...
Nie dbam o godności czyje:
Raz się żyjel... raz się żyjel...

I śmierć w szale rozpustnicy rzuca się przed jego oczyma w dzikiego szalu płas. A chrzęści, grzechoce i zgrzyta wszystkimi kośćmi skieletu... Nagle pochwyty skłeniec ze stołu, przewiezi ją — jednym zaciskiem — w klepsydrę wewnątrz sypką. I z tym roztruchaniem w sprężonym ramieniu chwyta wreszcie mistrza w pól, — zakręci, zawiruje nim w koło, — świszcząc i przyspiewując tą szczęką zębata:

„A kto do dna wypił dzban,
komu puhar w ręku trzasnął,
patrz, jak płasza pod mój tan:
raz się żyjel... tylko raz!...“

Wypuszczony nagle z jej ramion, rozpędem śmigi potoczył się pod piec i osunął na ławę. Po chwili już się ślania; poczerwieniała mu znów grdyka, spęczniały skronie. Lecz tym razem już nie trwoga, a dziwna gorzkość wykrzywiła mu wargi. Co widząc ona, doskoczy doń — z tem drapieżnem wyszczerzeniem szczęk, jak owo u tej pół-kobiety, pół-tygrysyca na żywym spiżu opodal... „Moje ty kochanisko najwierniejsze!...“

I pocałowała go w te wargi gorzkie.

Głową w dół runął całem ciałem na ziemię. A powalony na wznak zaświecił rękoma, zatupał jak koń. Chłopisko było mocne, bo oto głowę raz jeszcze podjął, na łokciu ją wsparł. I wystawił oblicze potwornej, sinej purpury: — za pocałunkiem onym już się snadź rozpękiwały pod skórą kruche żyły pijaka. „Ratujcie!“ — zabelkotał w nim, duszy już chyba samej na wspak, ślepy instynkt życia; jakby wzywał na ratunek blizkich jakowychś, których koło niego nigdy nie bywało. Poczekawszy tedy daremnie, opadł znów.

Okrutny, gardłowy stęk, jak w rzeźni, wypełnił izbę całą.

Z pod pieca wymknęły się nagle szczury, i, przewijając się koło tego ciała, migaly zaledwie futerką swem skrętnem i ogonem łysym. Najśmielszy z nich, wdrapawszy się na but, wystawił wreszcie ryj węszący. I aż nosk zmarszczył pod lubem tchnieniem rozkładu. A dziwi się czarnymi perelkami oczu, że palce mistrza, — i w tej jeszcze chwili! — lepią jakby w glinie kształty jakoweś; to znów podrywa się ręka, niby z młotem w garści: — gdy ciało już gnić poczyna, utrudza się jeszcze dusza t w o r z e n i e m — szczurom na żer, pająkom na osnucie. A tworząc wciąż, boryka się z ciała ostateczną beziłą: raz po raz tępcowo przeginał mu się grzbiet. — Nagle głuche stuknięcie głową w tył: „Chryste, w ręce T woje!...“ Miętko plusnęły dłonie o podłogę. Już cisza. Exitus.

Wówczas śmierć, — wdziała stróżę i zbiry, — opuściła chyłkiem dom jego.

Z CYKLU „OPIUM“

CLAUDE FARRÈRE

Z EPOKI CZWARTEJ „ZABURZENIA.“

SZÓSTY ZMYŚL.

Szesnasta, siedemnasta, ośmnasta? Już nie wiem. Czy nie zauważyliście, że niemożliwym jest ilości wypalonych fajek zliczyć? Niewiem, wiele ich wypaliłem... Zobaczmy: czuję, że myśli moje stały się przejrzystymi, że mózg mój jasno i bystro pracuje... Więc to musi być pewnie dwudziesta...

Czuję, że żyły moje wypełnia jakieś zdumiewająco lekkie fluidum, z pewnością nie jest to zwykła, czerwona, ludzka krew, to, co w nich krąży, pozatem czuję się wyższym nad człowieczeństwo i mam pełną świadomość mego podobieństwa z Bogiem. Musi to więc być dwudziesta fajka, bo jarmoz szóstego zmysłu z minuty na minutę coraz mniej mnie przygniata, i wkrótce stanę się całkowicie Bogiem i czystym duchem. Szkoda tylko, że wówczas nie jestem nigdy w stanie podnieść się z mojej maty, by zmaterializować te cuda, które się w mej głowie odbywają! Ale jest to niemożliwe! I rzeczywiście jest to zabawnem: w chwili, gdy ciężar mego ciała wydaje mi się tak nikłym, że prawie go już nie odczuwam, wszystkie moje członki są tak ubezwładnione, że jestem, jakby do ziemi przykuty! To działanie opium. Znam jeszcze więcej zdumiewające jego objawy...

... Mowg, czy ty chcesz wypalić tę fajkę? Zatem następna będzie dla mnie...

... Nie, szósty zmysł jeszcze niezupełnie we mnie zamarł. Będę musiał jeszcze ze trzy, cztery fajki wypalić... Gdy bowiem Mowglie odwraca do mnie swój biały karczek, i widzę, jak pod jedwabnym kimono zarysowują się jej biodra, chwytam się nagle na gorącym uczynku pragnienia, by ją posiąść... Sądzę, że cztery fajki jeszcze nie starczą. By mózdz stłumić swoje pragnienie to jeszcze nie dosyć. Trzeba już w ogólności nie być zdolnym odczuwać jakiegos pragnienia — trzeba zaprzestać patrzeć na akt płciowy przez różowe okulary, trzeba go widzieć tem, czem on jest w rzeczywistości — niemożliwą trywialnością. I tylko wówczas będę mógł swobodnie istotę mego upojenia odczuwać, i tylko wówczas ulatujące z mat westchnienia nie będą zamacać mej błogości.

Już wypaliłaś? Daj mi teraz fajkę, muszę ją oczyścić. To opium zdaje się być za mocnem. Trzeba było do tego z Yunnan domieszać nieco z tego wyrabianego w Benares...

Co to za palacze, którzy się tu dzisiejszego wieczoru zebrali? Lampa pali się tak słabo i moje źrenice wskutek wpatrywania się w światło, tak się rozszerzyły, że nie mogę rozpoznać ich twarzy.

Mowg, moja najukochańsza, mała Mowg, czuwa nad tem, by każden z nich miał swoją małą, swoją skórzaną poduszkę i dostał swoją fajkę; ale jedynie moja głowa spoczywa na miękkim wezgłowiu jej łona.

Nie, nie, szósty zmysł ciągle jeszcze we mnie pokutuje. Mowglie, najukochańsza, oddaj komu chcesz twoje ciało i jego powaby — bo ja już nic z niem począć nie mogę; ale zachowaj mi swą duszę, tę bliźnią siostrę mojej duszy i tak samo, jak ona opium karmioną. Tak lekko i szybko upłynęły lata; a to już tak dawno, jakeśmy się połączyli; ja mam trzydzieści, a ty dwadzieścia siedem lat. A od chwili naszego pierwszego pocałunku dotychczas ani razu nie klóciliśmy się, Mowg?

To wszystko jest jednak zdumiewające, i w pewnych chwilach sam nie mogę sobie zdać sprawy z tego życia, które od czasu naszego pobrania się prowadzimy. Zwłaszcza, gdy wspomnienia ubiegłych lat przedemną się wyłonią, owego czasu, gdy byłem nic nieznaczącym głupim chłopcem, który w pogoni za użyciem trwonil bez upamiętania po ojcu odziedziczone miliony. Ale to niestety prawda, najoczywistsza prawda, takim byłem. To ja jeździłem na moich żrebcach na par force wyścigach, ja ubiegałem się moim jachtem o nagrodę, i za jeden pocałunek Cendrelli cały majątek wyrzucałem, tej Cendrelli która była tak piękna, jako Izolda, i która mnie tysiąc luisdorów miesięcznie kosztowała. Ale co najdziwniejsze, że zakochałem się potem w miss Mowglie, że czempredziej się z nią ożeniłem, i że dla niej wszystkich rozkoszy świata i jego djabelskich sztuczek się wyrzekłem i o niczem innym nie marzyłem, jak o jej dziecięcych ustach i czystym uścisku jej chłodnych ramion — Miss Mowglie — to my sami obrabialiśmy dla niej to śliczne, dzikie imię, i to już tak dawno, że o jej rzeczywistym imieniu zapomniałem, — miss Mowglie, dziecko starego admirała i zwycięzcy z pod Formozy, dzika, mała dziewczynka, która zaledwie z klasztoru powróciła, dziewica, której jasne oczy miały tak czyste, niepokalane spojrzenie, że zdawały się na wieczne czasy przeciw zawrotnym wirom zmysłowych rozkoszy być uzbrojone. Mnie było to obojętnem, przypominam sobie nasze

pierwsze, czyste noce, w których oszalałbym się jej dziecinnymi pieszczotami i jej lękliwie oddawanymi pocałunkami...

Z początku robiliśmy dalekie podróże, przodkowie mojej ukochanej byli wszyscy żeglarzami i sędziami, że dlatego chęć podróżywania we krwi jej tkwiła. Cały rok byliśmy w Japonii i teraz jeszcze, jeszcze dzisiaj ze wzruszeniem wspominam jej cichy zachwyt, gdy o zachodzie słońca jacht nasz przecinał Simonoseki.

Tak, można być szczęśliwym na tej ziemi, nawet nie paląc...

Mowglie, moja mała kochanko, nie odwracaj się jeszcze odemnie i, nie lękając się, że sobie paluszki poczniesz, przyrządź mi fajkę, bym czempredziej uzbroił się przeciwko twojej drugiej zdradzie.

Czytam jasno w twojej ukochanej, wiernej duszy i wiem, że będziesz tłumić twoje żądze aż do tej szybko zbliżającej się chwili, która mnie z przyziemnej zazdrości wyzwoli.

... Dopiero znacznie później, w Chinach, poraz pierwszy paliliśmy. W Chinach, w Shanghaju, na Fouchow-Kred. O jak dobrze sobie tę chwilę przypominam! Było to szóstego października 1899; — o jedenastej wieczorem. Byliśmy na obiedzie u chińskiego kupca Czeng-Ta. I gdy miauczenie śpiewaczek umilkło, zaproponował nam Czeng-Ta, jako curiosité, byśmy w jego palarni jedną fajkę wypalili. Palarnia Czeng-Ta położona była w tej części domu, z której widok wychodził na podwórze... Na ścianach wisiały cztery kakimono z tak niechlujnymi obrazami, że Mowglie marszczyła czoło. Ale z chwilą, gdy wypaliłem drugą fajkę, o wszystkim zapomniałem i nie widziałem niczego, prócz spełniania się tajemniczego cudu, co zawsze za niemożliwe uważałem.

Czyste oczy, dziewicze oczy mojej towarzyszki rozszerzyły się i zdawały się zmysłową żądzą i zawrotnym pragnieniem płonąć, patrzyły, jak oczy, które długo w głąb przepaści wglądały. I poraz pierwszy tego wieczoru zapragnęła Mowglie zbliżenia do mnie i z lubieżną rozkoszą mi się oddała.

Potem paliliśmy codziennie.

... O ta cudowna tajemnica: szósty zmysł się w niej obudził, podczas kiedy równocześnie u mnie gasł.

Paliliśmy codziennie. To przecież zupełnie proste, nieprawdaz? Młodzi, bogaci aż nad miarę, chciwi wrażeń, jakie życie dać może, bylibyśmy głupcami, gdybyśmy sobie tak szlachetnego wrażenia, jak palenie opium odmówili. I od tej chwili nasze dusze, które i przedtem były dobrane, zawarły ściślejszą jeszcze przyjaźń, dostosowały się do siebie całkowicie i nasza miłość doszła do najwyższego napięcia. Dzieliłiśmy wszystkie nasze myśli, uśmiecaliśmy się i płakali równocześnie i z tej samej przyczyny.

Więcej jeszcze! Wiem, że, gdy leżąc obok mnie w palarni, oddaje ciało swe pocałunkom innego, obojętnego jej — dusza jej odrywa się od ciała, by się połączyć z moją i, by mnie natychmiast za zdradę ciała, której zapobiedz nie mogła, pomścić.

Wyjaśnienie tego dziwnego faktu jest zupełnie proste: szósty zmysł obudził się w jej krwi, podczas, gdy w mojej umarł. I niema w tem nic, coby nie było normalnem i racjonalnem, chociaż zdaje się być niepojętem.

W takich igraszkach lubuje się kapryśne — nie — mądre opium.

W kobietach stworzonych do miłości, potęguje przeważnie, miłosną chuch; w mężczyznach zaś, twórcach myśli, tłumi ten szósty zmysł, który przyziemnością swoją przeciwstawia się pracy ducha. I pewnem jest, że urządzenie to jest mądrzem i sprawiedliwym — jak wogóle zawsze jest opium mądrzem i sprawiedliwym.

Jeszcze jedną fajkę...

Teraz zwolna pozbawiło mnie opium mojej mękości i tym sposobem wyzwoliło mnie z tego płciowego opętania, które dla wyższych i do prawdziwego wyzwolenia dążących duchów, tak gniołącym jest jarmem. Z początku byłem tak głupim, że martwiło mnie to, a nawet buntowałem się, jak niewolnik, któremu rozkuto kajdany, a on lamentuje za chlebem i domem swego tyrana. Przeklinałem mądre prawa opium, nazywałem je śmiesznymi i niesprawiedliwymi. Nie mogłem jeszcze pojąć, że mądrzem jest, jeśli chuch i zmysłowe żądze w męczyźnie zanikną — przechodząc równocześnie w ciało mej towarzyszki. W głupi i śmieszny sposób chciałem tę samą drogę zrobić jeszcze raz z powrotem, wzbraniałem się wyrzec roli kochanka; — aż do dnia, w którym zrozumiałem i opium otworzyło mi oczy; — aż do dnia, w którym ciała nasze zdradę cielesną popełniły, by mocą opium dusze nasze tem ściślej i tkliwiej się połączyły.

... Jeszcze jedną fajkę, Mowg, moja najukochańsza, cierpliwa Mowg, to już ostatnia.

Teraz czuję się z tego świata całkowicie wyzwolonym. I czuję, jak dusza twoja w lasząco-wabiący sposób duszę moją osnuwa i pocałunkami okrywa. Zrzuć z siebie bólem i żądzą udręczone ciało, oddaj twe ramiona, twą szyję, twoje słodkie ciało pierwszemu lepszemu mężczyźnie, zapomnij o wstydzie.

Opium unosi nas wysoko ponad ziemię. Nie widzę nic prócz czarnych smug dymu, które nad moją lampą wirują, i słyszę najcudowniejsze symfonje, wśród których głuchną twe miłosne westchnienia. Śmieję się, Mowgli, śmieję się i płacz, obejmij ramionami chwilowego kochanka tego jednego wieczoru, daj mu twe usta, twoją drżącą pierś przytul do jego piersi. Moim udziałem jest tysiącokrotnie cenniejsza świadomość, że dusze nasze nieskończoną miłością i nieopisaną tkliwością nierozzerwalnie są połączone. I ani sekundy nie myślę o tem, że gdyby nie opium, moje usta całować cię, moje ramiona objąć i do piersi przytulićby cię mogły.

Co? Jak ośmieliliście się mnie nazwać? O wy, idjoci, wy mózgu pozbawieni idjoci! Wy głupcy, którzy nie palicie opium...

Przełożyła JADWIGA PRZYBYSZEWSKA



Portret (druku oryg.) - Jerzy Eulczak

MICHAŁ SOBESKI

NA MARGINESIE DON KISZOTA

(C. D.)

Czy Kiszot był satyrą osobistą czy polityczną, i jakie osobistości miał Cervantes na myśli — nie da się zapewne nigdy stwierdzić z bezwzględną pewnością. A powód jest wielce prosty. Każdy powieściopisarz, nawet gdy nie pisze wyraźnej satyry na współczesne osoby, czerpie wzory z otoczenia. Tworzy swe postacie na podstawie spostrzeżeń, jakich mu dostarczają ciekawsze osobistości. Z jednej bierze więcej rysów, z drugiej mniej — kombinując najczęściej rysy rozmaitych osób, by uzyskać własne typy. Zapoznawszy się tedy szczegółowiej z „otoczeniem“ autora, niezbyt trudno wykrywać w jego postaciach pewne osobistości. Nos zakrzywiony starczy, by odnaleźć w Kiszocie Karola V-go i t. d.

Koniec końcem: w Don Kiszocie widziano niemal wszystko, od pamfletu politycznego aż do księgi wszech nauk, łącznie psychiatrij; od efemerydalnej satyry literackiej aż do powieści metafizycznej, objawiającej sam rdzeń istnienia w zmaganiu się Kiszota z Sanczą, czyli idealności z realnością, ducha z materją. Dla jednych jest to arcywesoły *livre de passe-temps*, ośmieszający książki rycerskie, a może wogóle książki hiszpańskie, zresztą... niewiele warte. Dowcipnie a błędnie zawyrokował to przeciw Montesquieu: *le seul de leurs livres qui soit bon est celui qui a fait voir le ridicule de tous les autres*. Dla innych jest Cervantes szczytowym przejawem ducha ludzkiego, *el ilustrador del género humano*. I by w tej litanji treści, dostrzeganych w Rycerzu o smutnej postaci, nie brakło bodaj żadnego możliwego ogniwa, przypominano sobie jeszcze, że mógł on przecież być także... świętym. W rzeczy samej ukazała się w ostatnich latach książka arcyciekawa i, powiedzmy odrazu, piękna, wykazująca, że żywot i myśli Rycerza z La Manczy, to jeno nowy rozdział z wielkiej księgi p. t. „Żywoty Świętych Pańskich“.

Autorem, wypełniającym tę lukę — ostatnią chyba — w objaśnieniach do Don Kiszota, jest jeden z najczystszych pisarzy współczesnej Hiszpanji, Miguel de Unamuno, rektor uniwersytetu w Salamance, filozof, powieściopisarz i poeta.

V.

Miguel de Unamuno, świetny esseista, wyposażony w gruntowną wielostronną wiedzę, duch wiecznie „niespokojny“, szukający ustawicznie a daremnie wytchnienia jak Pascal, Rousseau, Leopardi lub Kierkegaard, odzywający się za św. Augustynem: *fecisti nos ad Te, ed inquietum est cor nostrum*,

donec requiescat in Te — Miguel de Unamuno patrzy z przerażeniem w teraźniejszość i przyszłość Hiszpanji. Jak tyłu ziomekłów swych szuka przyczyn przepaści, dzielącej Hiszpanję obecną, szarpaną walkami wewnętrznymi i ogłuszoną jeszcze straszliwym ciosem niedawnej wojny z Ameryką Północną, od Hiszpanji XVI-go wieku, potężnej na wewnątrz i zewnątrz, tworzącej wszechświatowe Imperjum. Nie mniejszym łękiem napelnia go przyszłość piśmiennicza ojczyzny. Z ponurą pogardą mówi o twórcach współczesnych, o literatach madryckich, zaprzątniętych jeno zazdrością i oczernianiem się wzajemnem. Czy umie wogóle śmiać się ten człowiek? pyta się Gomez Carrillo — znany zresztą w Europie dzięki pięknym szkicom, tłómaczonym na francuskie p. t. „*La Grèce éternelle*“ — po rozmowie z nim, umieszczonej w zbiorze „*Desfile de Visiones*“.

Unamuno, suchy, żółty, z brodą, jaką daje Zurbarán swym świętym, o żarzących się oczach ascety, nie opuszcza niemal nigdy Salamanki, ongi najświetniejszego uniwersytetu w Europie po Paryżu i Bolonji. *Omniun scientiarum princeps*, Salamanca docet, mówiła wówczas dumnie o sobie ta sama Salamanca, której później usłyszeć wypadło bezbożne słowa Carlyle'a: *twierdzo ignorancji!* Pochylony nad książkami, a przedewszystkiem po Norwidowsku „w sobie pochylon“, oddany całkiem swemu ensimismam, jak mówi niezrównany i już tem samem niemal nieprzetłumaczalny wyraz hiszpański — dostrzega wszelakie zbawienie dla ojczyzny w bezwzględnym radykalizmie, i to w radykalizmie... religijnym. Wszystkie problemy literackie czy społeczne, ekonomiczne czy polityczne, są, a raczej winne być w Hiszpanji problematami w gruncie rzeczy religijnymi. Nie chronienie się w wieżach z kości słoniowej, nie hellenizm na modłę francuską zbawi sztukę — jeno wiara. Wiara uczyniła dawną Hiszpanję wielką i potężną. Wiara wodła bohaterские drużyny conquistadorów na zdobywanie Nowego Świata. Wiara i teraz dokona cudu — lecz jeno wiara, będąca równocześnie wyrazem duszy narodu, wiara iście hiszpańska. A tą wiarą jest... kiszotyizm, a jej głosi-cielem i umęczonym wyznawcą Pan Nasz Don Kiszot.

Cervantes był dziwnym człowiekiem. Napisał cały szereg rzeczy przeciętnych, nawet miernych. Jedyne Don Kiszot jest czynem genialnym. Mimo formy powieściowej nie jest on bynajmniej powieścią. Jest żywotem świętego, Kiszota, i jego towarzysza, Sancza Pansy. Żywot ten wydobywa Unamuno — okrągłe 300 lat po ukazaniu się oryginału — z obsłonek powieściowych. W postaci czystej, nieszakanej strukturą romansu, pisze go wiernie według Cervantesa w książce: „*Vida de Don Quijote y Sancho según Miguel de Cervantes Saavedra*“ (Madryt 1905).

I jakże Michał Unamuno nie miał być dostrzedz, że Michał Cervantes nie napisał zgoła nic innego jak żywot świętego? Wziąwszy przecież do ręki żywot św. Ignacego Loyoli, skreślony wierszem piórem jego towarzysza i ucznia Ojca Piotra Rivadeneiry, przekończył się łącznie, że Kiszot i Loyola to wrodzeni bracia.

O dzieciństwie i młodości Kiszota nie wiemy nic. Występuje na widowni mając już lat 50 niemal. Temperament jego był choleryczny, t. zn. suchy i ciepły, całkiem jak Loyoli — jak stwierdza Rivadeneira. Szwankowała u niego tylko wyobraźnia, nie rozum — podobnie jak u Demokryta z Abdery, według Hipokratesa. A choć z powodu nadmiernego czytania i bezsenności stracił rozum, jako człowiek świecki, jako Alonso Quijano — zyskał go stokrotnie jako Don Quijote. Narodziwszy się na nowo w duchu, musiał przybrać nowe nazwisko.

Na świat wychodzi sam, podobnie jak Loyola, otoczony po nawróceniu tylko dwoma sługami. Poczyna żywot awanturniczy w Chrystusie i świeci odrazu, jak Loyola, przykładem doskonałego posłuszeństwa: idzie w świat na oślep, zdając się bez zastrzeżeń na wolę bożą. Obywa się bez pieniędzy, bez ubrań zbędnych. Rycerzem pasują go karczmarz, skończony lotr, i dwie biedne ladacznice: podeptani życiem wodą go ku szczytom. A czuwanie zbrojne, jakie odbywa jako rycerz nowopasowany, wykonywał także Loyola w noc Bożego Narodzenia r. 1522-go. Odpędza poganiacza osłów, chcącego odsunąć jego zbroję, leżącą na cysternie, jak należy odpędzać tych, co chcą nam zabrać broń ideału. Celem jego jest naprawianie zła, niesienie pomocy słabym i uciśnionym. Najprawdziejwiewnieją jednakowoż jest, gdy zmusza przejezdnych kupców do uznania Dulcinei, której nigdy nie widzieli, za najpiękniejszą kobietę na świecie. Tutaj walczy o zdobycie „duchowego królestwa wiary“. Kupcy owi muszą wierzyc bez widzenia. Właśnie ten jego czyn podnosi może najwięcej na duchu tych, co już są „odkupieni jego obłędem“.

Atakując kupców spada Kiszot z swego rumaka Rocinante. Podobnie dzieje się jego wyznawcom, spadającym na ziemię z winy swych szkap, nie z własnej. Tarzając się obity na ziemi, odczuwa Kiszot rozkosz bólu — jak Hiszpanja czuje upodobanie w własnej słabości. Odnoszony do domu przez wieśniaka Piotra Alonso, mówi dumne słowa: yo sé quien soy — wiem, kim jestem. Tylko bohater może tak mówić, bo tylko u niego „być“ równa się „chcieć być czemś“. Tylko on to wie, bo tylko on zna całą głębię swego bohaterstwa. Przeciętny człowiek zaś nie chce wogóle być czemś.

Jak Ignacemu Loyoli radzi rodzony starszy brat Marcin García Loyola, by nie okrywał rodziny

infamją — tak samo przestrzega Kiszota jego siostrzenica. Obydwaj idą jednak w świat. Kiszot bierze ze sobą Sancza Panse, potrzebnego mu jako chór, by mógł słyszeć samego siebie, jako żywy swój odgłos w świecie. Sanczo jest dla niego całą ludzkością. Nie idzie za nim z chciwości, jeno zaraz z wiarą węf. Albowiem więcej kiszotyizmu trzeba, by rozsądny szedł za głupim, jak głupi za swemi głupstwami.

Poczynając szukać zbawienia, rzuca się Kiszot na młyny. „Młyny“ to to samo, co dzisiaj lokomotywy, maszyny, dynamo i t. d. Tylko strach sprawia, że widzimy młyny, lokomotywy, miast olbrzymów, siejących zło. Tylko strach zniewala nas do padania na kolana przed parą i elektrycznością, przed mechaniką i chemją, błagając miłosierdzia. Kiszot natomiast, szukający życia, atakuje je śmiało.

Sanczo zrazu nie jest zbyt silny w wierze. Jak Szymon Piotr, myśli o nagrodzie, o wyspie, przyrzeczonej przez Kiszota, t. j. o królestwie ziemskim, a nie duchowym. Lecz wiara jego poczyna rosnąć. Nie widział księżniczki Dulcinei, nawet nie słyszał o niej, a wierzy w nią, bo wie, kim jest Kiszot. Wiara poczyna go zbawiać — całkiem inaczej jak owych kupców, co to pragnęli, by uwierzyć w Dulcynę, widzieć wprzódy jej wizerunek, choćby małeńki jak ziarno pszenicy, tamaño como un grano de trigo.

Sam Kiszot widział Dulcynę tylko cztery razy podczas dwunastu lat. Zakochał się w niej, bo każdy rycerz musi być zakochany, bo z miłości do kobiety rodzi się wszelki heroizm, pragnienie nieśmiertelności. Przez Dulcynę szuka Kiszot uwiecznienia w czynach ducha — jak szukał pomocy w kobiecie, w św. Klarze, św. Franciszek z Asyżu. Loyola nie zezwolił, by Towarzystwo Jezusowe przyjmowało kobiety do swego grona, lecz czcił kobietę, nawet tę, którą życie najwięcej poniżyło. Sam prowadził przez śródmieście Rzymu mujercillas públicas perdidas, by je umieścić w klasztorze św. Marty.

Kiszot uwalnia galerników — jaknajśluszej. Dąży do idealnej sprawiedliwości, podczas gdy Sanczo broni jeszcze wulgarnej sprawiedliwości sądów. Kiszot czuje, że nie należy karać, gdy tylu innych winnych uchodzi bezkarnie. Lepszą jest bezkarność wszystkich, aniżeli niesprawiedliwe wykonywanie prawa. Tak tłómaczy sobie ten czyn Kiszota Angel Ganiwet, wielki kiszotyista (nie cervantysta), w słynnym swem „Idearium español“. Unamuno zwalcza pogląd przyjaciela. Kiszot nie mógł uwalniać z powyższych powodów, bo przecież sam wymierzał kary, choć wiedział, że nie ukarze wszystkich winnych. Karał bezpośrednio i odruchowo, jak Bóg i przyroda. Jego sprawiedliwość była nagła. Wyrok i kara były dla niego jednym

i' tem samem. Karał by wybaczać, bo celem sprawiedliwości jest wybaczenie. W chwili śmierci, sam na sam z Bogiem, wybaczymy wszystkim. Nie dobrze jest, gdy człowiek staje się katem człowieka. Stąd patrzą lud i Kiszot niechętnie na kata i wogóle na wszelkich funkcjonariuszy sprawiedliwości. Stąd odruchowo pomagają skazanym. Złe zaś odwzajemienie się galerników Kiszotowi uczy nas, że należy dobrze czynić, nie wymagając wdzięczności. Gdy liczymy na wdzięczność, traci na wartości nasz czyn.

Szereg udręk, jakie sprawia Kiszot samemu sobie w Sierra Morena, mają pokazać Dulcynei, do jakich warjaetw byłby zdolny na serjo, gdy już teraz, bez żadnego powodu, tak warjuje — coby potrafił, jak mówi tekst, dla Dulcynei zrobić na mokro, gdy już tyle robi na sucho. Pod tym kątem widzenia są jego koźle skoki i susy, czy grzmocenia głową o skałę, skończenie piękne. Mają bowiem cel same w sobie, są celowo bezcelowe, jakby powiedział Kant. Są to ćwiczenia duchowne dla samych siebie. Przynać jednakowoż trzeba, że czyny te należy więcej podziwiać, aniżeli naśladować — podobnie jak życie Szymona Słupnika. Także św. Teresa w rozdziale trzy nastym swego „Żywota“ radzi baczyć, które czyny świętych należy naśladować, a które tylko podziwiać.

Kwintesencję kiszotyizmu zawiera rozmowa Kiszota z Sanczą po tegoż powrocie od Dulcynei. Sancho zmyśla wydarzenia, zgodne z życiem wulgarnem i pozorom, Kiszot odpowiada mu na nie prawdami, i opartemi o życie głębokie. Albowiem nie rozum, jeno wola stwarza nam świat. Stare zdanie scholastyki: nihil volitum quin praecognitum należy zmienić na: nihil cognitum quin praevalitum. Poznajemy tylko, co „ chcemy“. To samo mówi nam śpiewka Ramona de Campoamor, nie frasobliwego zresztą, mimo wszystkich rzekomych swych głębin, poety z drugiej połowy XIX-go wieku:

Que en este mundo traidor
Nada es verdad ni es mentira;
Todo es según el color
Del cristal con que se mira

— mianowicie gdy nada es verdad ni es mentira zamienimy na dosadniejsze: wszystko jest prawdą i wszystko jest kłamstwem. Stąd mówi Kiszot do Sanczy: nie Dulcynea cuchnie, jeno ty cuchniesz, bo według własnego powonienia oceniasz innych. Ja wiem dobrze jak pachnie ta róża między głogami, ta lilija polna, ta ambra plynna. I dalej: tylko to istnieje, co działa. O ile Kiszot działa w swych wyznawcach rzeczy żywotne, jest realniejszy aniżeli sam Gonzalo Fernández de Córdoba, zwany El Gran Capitán, lub Diego García de Paredes, „kapitan“ niemal równie wielki. Wówczas są legendy i fikcje prawdziwsze od historii.

Mimo wszelkich niepowodzeń Kiszota rośnie wiara Sanczy. Walczy bohatersko o wiarę naprzekór rozczarowaniom, przekonując się np. że rzekoma księżniczka Micomicona jest Doroteą. Ściera się w nim „zdrowy chłopski rozum“ z dążnościami wzniosłemi. Brak mu jeszcze wiary Kiszota, wierzącego że basen golibrody jest złotym hełmem Mambryna. Też wiary brak jeszcze Hiszpanji. Stąd jej ubóstwo. Ani rolnicy, ani przemysłowcy hiszpańscy nie wierzą w nic. Nie odważają się na nic, czego nie znają. Dopiero kiszotyizm, czyli hiszpańskie chrześcijaństwo, podniesie Hiszpanję. Życie silne i wspaniałe wiodą tylko ci, którym w sercu tli się ogień wiecznego niepokoju, którzy rozpaleni są wielkim płomieniem miłości, jak Kiszot do Dulcynei, widzianej — zważmy raz jeszcze — w ciągu lat dwunastu zaledwie cztery razy.

Nie wierzący w cuda, oglądane przez Kiszota w jaskini Montesinos, nie wierzą także w wizje Loyoli. Są to ludzie, powiada Ojciec Rivadeneira, nie więdzący, co to duch. Z takimi nie należy się liczyć. Człowiek jak Loyola, co takie rzeczy zdziałał, mógł też widzieć rzeczy takie, o jakich mówi. Jeżeli życie jest snem — to czemuż sen nie mógłby także być życiem?

Droga krzyżowa Kiszota poczyna się prawdziwie z chwilą, gdy po spotkaniu pięknej księżnej na polowaniu staje się przedmiotem „wielkodusznej gościnności“, czyli pośmiewiska pary książęcej. Dokuczka mu kapelan o ciasnym umyśle, jak dokuował Loyoli przeor Dominikanów w Salamance. Na Sanczę przychodzą również chwile coraz cięższe. Po krótkich a pełnych udręk rządach na wyspie przyznaje, że nie jest stworzony na pana, i że wogóle nie jest zbyt dobrze być panem. Także o tem wie doskonale święta matka Teresa. W rozdziale 34-ym swego „Żywota“ powiada wyraźnie, że pan jest niewolnikiem tysiąca rzeczy. Teraz mógłby Sancho powtórzyć o sobie słowa Kiszota, przystojące jeno bohaterowi: yo sé quien soy — wiem, kim jestem.

Wiara w Kiszota uzdrawia — w Kiszota, którego imię służy głupocie do wyklinania heroizmu i poniżania wielkości. A przecież uczy przykład duenji Rodriguez, wydającej dzięki Kiszotowi córkę za mąż, że zawsze osiągnie swój cel, kto przystępuje do niego z wiarą, z czystą intencją, a nie z drwinami. I Hiszpanja nie odzyska dawnej wielkości, jeżeli nie zmieni żartów na prawdę, jeżeli nie będzie Kiszotem na serjo. Korzyść z ducha Kiszota mają tylko ci, co umieją płakać nad nim, a nie śmiać się z niego.

Na drodze swej spotyka Kiszot także czterech „błędnych rycerzy“ chrześcijaństwa, św. Pawła, Jerzego, Marcina i Jakóba, tępicieła Maurów — rzeźbionych w drzewie, przeznaczonych do wiejskiego kościółka.

Jest to najmelancholijniejsze wydarzenie całej epopei. Kiszot poczyna wątpić o własnych czynach i zwraca się ku zbawieniu duszy. „Bo cóż pomoże człowiekowi, jeśli cały świat zyskał, a na duszy swej szkodę podjął? albo co za odmianę da człowiek za duszę swoją?” (św. Mateusz XVI, 26). Czegoż szuka się w czynach heroiczych: czy naprawy krzywd dla sprawiedliwości? czy też sławy przez naprawianie? O sławie mówi przecież rodzony Kiszotowi brat w duchu, Zygmunt, w trzecim akcie Calderona „Życie Snem“:

Quién por vanagloria humana
Pierde una divina gloria?

Zaprawdę głupotą jest ubiegać się o ludzką vanagloria, a tracić sławę niebieską. Tym więcej, że zyskując chwałę niebieską, osiąga się także sławę ziemską, będącą przecież również udziałem świętych pańskich.

Spotkanie z błędnymi ryccerzami chrześcijaństwa poczytuje Kiszot za dobrą wróżbę. W rzeczy samej oczekuje go niedługo... śmierć. Urodziłem się by żyć umierając, a ty Sancho urodziłeś się by umierać jedząc. Tak wnika Kiszot w głębię duszy własnej i Sanczy, gotującego mu najstraszliwszą przykrość. Otóż Sancho opiera się mu, nawet zdradza go, powalając go o ziemię. Przed śmiercią rozpoznaje Kiszot nadto niejedną jeszcze prawdę. Pojmuje, że szlachetny bandyta Roque Guinart zasługuje na szacunek za szczerość i brak faryzeuszostwa, cechującego społeczeństwo. Lud hiszpański ceni dla tego bandytów, którymi opiekuje się ich patron św. Dimas. Lud dobrze sobie zapamiętał, że Pan Jezus ostro karcił faryzeuszów, t. j. ludzi ogólnie szanowanych według „prawa“. Nie zapomniawszy, że jedyne wyraźne zapewnienie zbawienia z ust Zbawiciela zyskał Iotr, zawisły obok na krzyżu: zaprawdę mówię tobie, dziś zemną bądźziesz w raju.

Upiorne skrzydła śmierci coraz niżej pochylają się nad Kiszotem i coraz więcej rozwiązują mu zagadnień. Pobity, niezdolny już do uprawiania rzemiosła ryccerskiego, nosi się z myślą zostania pasterelem, jako Quijotiz — by nie umrzeć w pamięci ludzkiej: no morir! Podobnie zwraca się Hiszpanja, pobita przez Amerykę, do kolonizacji wewnętrznej, do pól, do stodół, słowem al pastoreo. Choć inni zwią naród hiszpański pueblo moribundo, któż wie, czy niezdolność do brania udziału w cywilizacji obecnej, nie uczyni go szczególnie podatnym do cywilizacji przyszłości...? Jak Hiszpanja odkryła i zdobyła Nowy Świat, tak może teraz zdobędzie nowy świat ducha!

Przewrócony i podeptany przez trzodę świń, dochodzi Kiszot do zrozumienia najczystszej dusza kiszotyizmu. Oparty o pień dębu korkowego, przypiewuje sobie, przy akompanjamentie własnych wdychań, madrygał:

Tak życie mnie zabija
A śmierć daje mi życie.

Oto najtajniejszy rdzeń kiszotyizmu: pożądanie życia wiecznego, życia w śmierci. Wierzeje tej samej prawdy rozwarły się w chwilach największego skupienia ducha przed jego bratem i siostrą, przed św. Janem od Krzyża i przed św. Teresą, wołającą:

O śmierci! do ciebie płacę
Życia odtrącam uśmiechy —
Póki na życie tulacze
Skazanam za moje grzechy.
Kiedyż się spełnia, o Boże!
Te moje oczekiwania,
I ziemskie brzęnięcie to złożę?
Niech umrę z nieumierania! ¹⁾

Śmierć rzuca światło na całe życie. Słowa: sicut vita, finis ita należy tedy zmienić na odwrotne: dobra lub zła śmierć zmienia całe przeszłość. Śmierć rozjaśnia Kiszotowi jego własne misterio quijotesco. Teraz dopiero jasno mu w głowie. Teraz widzi, że jego życie było snem obłądki, sueño de locura. La Vida es sueño, życie jest snem — a czyż nie jest nim w takim razie także śmierć? Życie i śmierć, to może jeno dwa nędzne epizody czegoś zupełnie innego, mającego korzenie swe bezpośrednio w wieczności, w Bogu? Czyż nie snem tylko bohaterские czyny, pożądanie sławy?

Na tle tego rozpoznania jest śmierć Kiszota jeszcze heroiczniejszą. Wyrzeka się swego dzieła, umiera bez złudzeń. Tymczasem Sancho dobił był właśnie do szczytu swej wiary. Do Kiszota, wyrzekającego się dotychczasowego życia, mówi: panie, przyjdź do siebie, nie gadaj głupstw, wróćmy do naszego dawnego życia, bo i pani moja, Dulcynea, jest uwolnioną od czarów. Potrzeba tedy było, by Kiszot umarł, aby Sancho mógł żyć w złudzeniu ożywczem. Jak Kiszot pobity do swej wioski, wraca Hiszpanja pobita przez Amerykę, lecz nie na to by umrzeć. Został przecież przy życiu Sancho, pełen wiary: wiara Kiszota skupiła się teraz w nim. Sancho staje się dziedzicem jego ducha. I pewnego dnia zrobi to samo co on. Weźmie zbroję, dosiędzie konia i ruszy w świat jako ryccerz błędny. Zmieni się w Kiszota, urzeczywistni ostatecznie kiszotyizm na ziemi.

Na razie Sancho jeszcze zbroi nie przywdział. Na razie spełnia się niestety jeszcze testament Kiszota, wyrzekającego się swego heroicznego życia, testament opiewający, że siostrzenicy jego wolno wyjść za mąż tylko za nieryccerza! A nie trudno jej testamentu dotrzymać, bo całe dzisiejsze pokolenie jest nieryccerskie. Dziś władnie Hiszpanją siostrzenica, Antonia Quijana — więc módlmy się do Boga za Hiszpanję!

(C. D. N.)

¹⁾ Ostatnia zwrotka „Glossy“ św. Teresy w przekładzie Lucjana Siemieńkiego.



Модель из текстиля. Из И. С. — Анна Самарка

ZAGŁADA DOMU USHER'ÓW

EDGAR ALLAN POE.

Son coeur est un luth suspendu,
Sitôt qu'on le touche il résonne.

(De Béranger).

Przez cały mroczny, głuchy i smętny dzień jesienny, pod ciężką posową obłoków, co wlokły się po niebie, nie opuszczałem siodła, przebiegając sam na koniu dziwnie zamarałą połąć kraju, i dopiero z nastaniem wieczornych zmierzchów ujrzałem przed sobą pośępny dom Usher'ów. Gdy po raz pierwszy zamajaczył mi przed oczyma, zadrgnęła mą duszą — sam nie wiem, dla czego — nieuskromiona żalność. Powiadam: nieuskromiona, bowiem uczucia tego nie koiliły owe nawpół rokokowe, gdyż upowite poezją wrażenia, jakich zazwyczaj doznaje umysł na widok najgroźniejszych, naturalnych przejawów, okropności i spustoszenia. Patrzyłem, na roztaczającą się przede mną widownię — na dom i pospolite zarysy krajobrazu całej włości — na żalobne mury — na okna, zgasłym podobne źrenicom — na kępy drętowego sitowia — na białawe pnie obumarłych drzew z bezgranicznym przygnębieniem, do którego z odczuwań ziemskich żadne snadniej przyrównać się nie da od wrażeń nałogowego palacza opium, gdy budząc się, zaprzepaszcza się z goryczą w szarzyźnie życia — kiedy obmierzła zapadnie zasłona. Złodowaciała, zniżyła, omdlała dusza — potępieńcem zrozpaczeniem przepoiła się myśl, której żadna tortura wyobraźni ku niczemu wzniósłemu pobudzić nie mogła. Dlaczego? przystanęłam w zamyśleniu, — dlaczego czuję się tak nieswój, spoglądając na dom Usher'ów? Była w tem nieodgadniona tajemnica; napróżno pasowałem się z upiornymi zwiadywaniami, co naprzykrzały się mej zadumie. Musiałem poprzestać w końcu na bynajmniej niezadawalniającym wniosku, iż w przyrodzie istnieją snadź zestawienia najpospolitszych przedmiotów, którym dana jest moc oddziaływania na nas w ten właśnie sposób, jednakowoż zbadanie tej mocy należy do dziedziny niedostępnych już dla nas tajni. Jest rzeczą możliwą — myślałem sobie — iż dość jest zmienić rozmieszczenie części składowych jakiejś widowni lub szczegółów na jakimś obrazie, by się przekształciła lub snadź nawet zupełnie zanikła ich zdolność wywoływania smutnych wrażeń. Rozsnuwając ten pomysł, skierowałem mego konia na urwiste zbrzeża czarnej, zasepionej topieli, co roztaczała naokół domu swe zastygłe w bezruchu zwierciadło, i z dotkliwszem jeszcze, niż poprzednio, drżeniem spoglądałem na odbite w niej, przeinaczone obrazy szarego sitowia, upiornych pni drzewnych, tudzież zgasłych, niby źrenice okien.

A jednak w tym przybytku żalności zamierzałem spędzić kilka tygodni. Właściciel jego, Roderyk Usher, należał ongi do najmiłszych towarzyszy mojego dzieciństwa, nie widzieliśmy się już od lat wielu. Dopiero przed niedawnym czasem, gdym przebywał właśnie w odległych stronach, doręczono mi wszakże jego list, w którym z niezwykłą natarczywością domagał się tylko ustnej odpowiedzi. W piśmie widniały oznaki podniecenia nerwowego. Skarżył się na obłożną chorobę ciała — na dolegliwy rozstrój duchowy — i oczekiwał mnie z najgorętszym upragnieniem jako swego najlepszego i jedynego druha, spodziewając się, iż pogodne me usposobienie może wpłynąć kojąco na jego niedomaganie. Sposób, w jaki pisał o tych i o innych jeszcze rzeczach, tudzież nietajony, błagalny odzew serca, nie pozwalały na zwłokę; usłuchałem też natychmiast tego osobliwego wezwania.

Jakkolwiek w dzieciństwie łączyła nas ścisła zażyłość, mimo to niewiele wiedziałem o mym przyjacielu. Powodował się zawsze przeczuloną, wrodzoną skrytością. Słyszałem atoli, iż starożytny jego ród już od niepamiętnych czasów słynął z wyjątkowości usposobienia, co przez długie wieki znajdowała ujście w mnogich dziełach szczytnego zawsze arcyzmu, w ostatnich zaś latach przejawiała się porównie często w uczynkach wielkodusznego i nie dbającego o poklask miłosierdzia, jak w namiętnem zamięłowaniu do niedocieczonych snadź rzeczy, niż powszechnie uznanych i łatwo dostępnych piękności wiedzy muzycznej. Mówiono mi również o nader znamiennej okoliczności, iż czczony po wszystkie czasy szepce rodu Usher'ów nie wydał nigdy trwalszego odgałęzienia, — czyli, że cała rodzina wyprowadzała się tylko w linii prostej i że z wyjątkiem nader nieznacznych i krótkotrwałych odstępstw bywało tak zawsze. Rozważając w myśli doskonałą zgodność, zachodzącą między charakterystycznymi cechami włości a znanymi powszechnie właściwościami rodu, oraz zastanawiając się nad możliwością wpływów, jakie w przebiegu wieków ziemię tę mogły wyrzucić na swych właścicieli: zrozumiałem, dlaczego ów brak bocznych linii i — co za tem idzie — nieodmienne przenoszenie się mienia i dziedzictwa z ojca na syna, wytworzyły między jednym a drugim tak ścisłą łączność, iż pierwotne miano posiadłości znikło w pomysłowości i dwuznacznej nazwie: „Dom

Usher'ów" — która w rozumieniu posługującego się nią ludu zdawała się obejmować zarówno ród, jak i jego siedzibę.

Wspomniałem już, iż jedynym następstwem mojej nieco dziecinnej zachcianki — było pogłębienie pierwotnego, dziwnego wrażenia. Przeświadczenie o szybkim wzroście mej zabobonnej trwogi — bo i czemuż nie mam określić jej tem słowem? — przyczyniło się niewątpliwie do przyspieszenia tegoż wzrostu. Jest to oddawna mi znane, paradoksalne prawo wszystkich odczuwań, wynikających z trwogi; i snadź jego to było dziełem, iż wzniołszy oczy ku domowi od jego odbicia w toni, uległem szczególniejszemu przywidzeniu — przywidzeniu istotnie tak śmiesznemu, iż wspominam o niem jedynie na dowód przemożnego nasilenia gnębiących mnie wrażeń. W rozkieźnaniu wyobraźni zwidziało się mi, iż włość i zabudowania spowija właściwa im oraz najbliższemu jej otoczeniu atmosfera — atmosfera nie mająca nic wspólnego z powietrzem przestworów, lecz podnosząca się ze spróchniałych drzew, szarych ścian i głuchej topieli zatrutym, mistycznym wyizwem, ponurym i stęzłym, o ledwo widocznem zabarwieniu ołowiu.

Otrząsając się z tych sennych rojeń, które jużćić nie mogły być niczem innym, jąłem zastanawiać się dokładniej nad rzeczywistym wyglądem budynku. Świadczył on przede wszystkim o niesłychanej starożytności. Wyblakły doszczętnie ściany w przebiegu wieków. Od zewnątrz omszały drobnym porostem, zwieszającym się z rynien misternie splecioną tkanką. Pomimo to nie było widać wyraźniejszych oznak zniszczenia. Nie waliły się nigdzie mury, jakkolwiek niespożyta ich krzepkość pozostawała w osobliwszej sprzeczności ze zwierzalnością poszczególnych cegieł. I przyszły mi na myśl owe stare wiązania drzewne, co butwiejąc oddawna w zatęchłem, nieprzewietrzanem podziemiu, zachowują do czasu pozory trwałości. Wszelako te ślady spróchnienia nie nadawały bynajmniej budynkowi wyglądu ruiny. Być może, iż oku baczego widza nie uszłyby jeszcze zaledwie widoczna rysa, co poczynając się od dachu, zbiegała w dół, na przedniej ścianie domu zygzakowato, znacząc się linią, i w wodach mętnej gineła topieli.

Pograżony w tych spostrzeżeniach, minąłem krótką groblę i zatrzymałem się przed domem. Oczekującemu tam pachółkowi oddałem mego konia i wszedłem pod gotyckie sklepienia przedsionka. Cichym krokiem podbiegł ku mnie służący i mrocznymi, krętymi korytarzami poprowadził mnie w milczeniu do komnaty swojego pana. Wszystko, co spotykałem po drodze, przyczyniało się, nie wiadomu czemu, do spotęgowania wspomnianych już przezemnie, nieujętych wrażeń. Aczkolwiek otaczające mnie przedmioty — te rzeźbione stropy, te przyćmione na ścianach obicia, te posadzki, lśniące czernią hebanu, i widziadlane rycerskie trofea, co szczękały za każdym mem stąpnięciem, różniły się niewiele lub wcale od tych, do których nawykłem od dzieciństwa; aczkolwiek rozpoznawałem niezwłocznie te rzeczy, tak dobrze mi znane, mimo to nie wychodziłem z podziwu, iż zwyczajne zjawiska mogą rozniecać takie niezwykłe urojenia. Na schodach spotkałem domowego lekarza. Twarz jego mignęła mi przed oczyma wyrazem uniżonej przebiegłości z domieszką zakłopotania. Pozdrowił mnie lękliwie, nie zwalniając kroku. Wtem służący rozwarł drzwi na oścież i wprowadził mnie do pokoju swojego pana.

Była to komnata bardzo obszerna i wysoka. Ostrołukowe jej okna, wąskie i długie, umieszczone były tak wysoko nad posadzką z czarnego dębu, iż niepodobna było dosięgnąć ich wnętrza. Nikłe smugi nasyconego purpurą światła napływały przez zakratowane szyby i uwydatniały znajdujące się w pobliżu przedmioty; natomiast do odleglejszych kątów pokoju, jakoteż do załomów jego sklepionego, szczerdże rzeźbionego stropu niepodobna już było przeniknąć spojrzeniem. Na ścianach wisiały ciemne draperje. Urządzenie składało się z mnóstwa odwiecznych, podniszczonych i niewygodnych sprzętów. Dokoła leżały porozrzucone narzędzia muzyczne i książki, nie przyczyniając się wszakże do ożywienia całości. Owiąło mnie powietrze, przesiąknięte smutkiem. Wszystko było przepojone i przytłoczone tchnieniem surowej, głębokiej i beznadziejnej melancholji.

(C. D. N.)

NA WIEJSKIM CMENTARZU

KAZIMIERZ JAWORSKI

Tu, na cmentarz wiejski, bitewni zapaleńcy ciskali grad kul —
 Wśród grobów szańca żywych szukali...
 Latały odbite głowy i ręce figur kamiennych; sypał się gruz z cerkwi — zieloną murawę ceglany miał
 krwawił — i jęczał dzwon smagany razami pocisków.
 Śmiał się szal!
 Teraz ciosa tu ogromna...
 Tylko czerwone wylomy w murze ognia się do słońca, gdyby Pamięć okrutna krwawych ran na ciele zabitych;
 tylko odłamy obelisków i czerepy figur tarzają się w bezalnej mące rozbicia, gdyby Pamięć rozpaczna
 ciała rozdartych;
 tylko w milczeniu dzwonu słychać kul światy i jęki konania...
 Przy dzwonnicy płomienia się grona jarzębin, rzekłbyś krople krwi, co zgasać nie mogą.
 Ze złotych liter w rozsypane, z potrząskanych tablic chwały nagrobnej, światło dnia jesiennego Nicość czyta.
 Powiew ranny suche liście strąca z pozółkłych koron drzew.
 Z cichym — przecichym szelestem osuwają się po ścianach cerkwi i wieszają po ruinach dzwonnicy.
 W złociste wieńce ujmują szczątki figur, otulają strатовane groby —
 Balsam smutku sączą w bolesną Pamięć bitewnego szalu...

POWRÓT

Zegar bije godzinę — taką samą, jak wczoraj. Dźwięki ścichają w przestworzu jakgdyby ktoś niepowrotnymi
 kroki odchodził daleko, daleko...

W ciszy serca dzwonią smutne echa pożegnania — śmieją się i płaczą.

Gdy wczoraj wracałem wiejską drogą, zegar odmierzał tyleż godzin, odeszłych na zawsze.

Chłodny wiew, zwiastun wieczoru, pił mi z ust ciepło twych dłoni. Błaski twych oczu gubiło w sobie
 słońce, muzykę słów roznosiły świerszcze...

Poza mną zachód splotywał falami ognia. Przede mną płynęły obłoki opylone nalotem purpury.

Gdy purpura ściemniała, wiedziałem, że słońce zgasło.

Gwiazd jeszcze nie było...

Byłem smutny.

Uderzenia zegara przebrzmiały.

Lecz od ogłuchłych dźwięków spłynął na serce Czar, jakgdyby na zgasłą zorzę spadły cicho — błękitne
 niezapominajki.

FR. RAWITA GAWROŃSKI.

TARAS SZEWCZENKO I POLACY

IV.

(C. D.)

Szewczenko osobliwą sympatią otaczał Sowę (Żeligowskiego), autora głośnego już wówczas poematu p. t. *Jordana*.¹⁾ Cenzura rosyjska nie doszukała się w poemacie aluzji do rzeczywistości i puściła go, chociaż społeczeństwo polskie i ludzie innego ducha domyślali się co znaczy i do kogo się odnosi zarzut „piastowania jedynie urzędów i służenia rzeczypospolitej rzymskiej” i kim są przedstawiciele „samowiedztwa siły materialnej”.²⁾ Sowa należał do tej kategorii marzycieli, „których myśli, jak dymy, wiecznie nad dach ulatują”, o których Schiller powiedział:

Nichts war so hoch und nichts so ferne,
 Wohin ihr Flügel ihn nicht trug.

Nic dziwnego że młodym, którym „nowego życia nadzieja rozdyma pierś człowieczeństwa”, którzy odczuwają „uroczyście drzenie, witające pod wszystkimi względami nową epokę życia”, podobał się *Jordana*. Tą syntezą poetycką chwili dziejowej ożywione było społeczeństwo polskie, a duch Szewczenki, rwący się ku wolności, lecz spętany niewolą, nie był obcym tym wzlotom polskiego poety. Stąd też płynęły jego sympatie do Sowy. „Pragnąłbym — pisze do Zaleskiego — korespondować ze Sową, ale niewiem jak zacząć. Po polsku pisać nie umiem, a po rosyjsku nie wypada. W razie możliwości udzielił mi jego adresu, a gdy będziesz do niego pisać, kłaniaj się i ucałuj odemnie”.³⁾ Czas nawiązywał serdeczniejsze węzły między poetą polskim a ruskim. Prawdopodobnie istniała pisemna między nimi wymiana myśli, ale może ją Szewczenko z zbytnej ostrożności zniszczył, albo może „zmlakom” nie podobała się. W ogóle stosunek Szewczenki z Polakami przez biografów poety ruskiego nie był ani widziany, ani traktowany życzliwie i wyczerpująco.

W maju 1853 roku Szewczenko, posyłając Zaleskiemu dwa swoje poematy *Warnaka* i *Kniahinię*, *Warnaka* ofiaruje Żeligowskiemu. „Kłaniaj się Sowie — powiada — a na *Warnaku* napisz (dedykację) Żeligowskiemu, albo tak zostaw. Jak będziesz uważał, że lepiej tak i zrób”.⁴⁾ Zapytany

zapewne czy zna *Jordana*, odpowiedział: „*Jordana* i *Sowę* znam jak twoje serce, i dzięki trzem ludziom, teraz już nie w *Pietrozawodzku*, którzy znali mnie osobiście i niezapomnieli o mnie, a dla tego zem został jeden tylko z tej trójki, posyłam serdeczny uścisk, a tym, którzy nie osobiście mnie znają i o mnie wspominają, zasylam tysiacy z krwi serdecznej pocałunków i miłość braterską”.⁵⁾

W liście do Zaleskiego, który, jak się zdaje nie doszedł, prosił o przesłanie poezji Żeligowskiego, a gdy je otrzymał, pisał: „dziękuję ci za piękne pieśni Sowy; najbardziej podobały mi się *Dwa słowa* i *Expromt*; jeżeli z nim korespondujesz, to w każdym liście całuj odemnie z pełni mego serca”.⁶⁾

Sowa zapoznał się także z poezjami Szewczenki i miał zamiar przełożyć na język polski jego *Katerynę*.⁷⁾ Z tego powodu Szewczenko pisał: „przekłady Sowy są również piękne jak i jego oryginalne poezje. Mówię o tem, powodowany nie skromnością autorską, lecz tak jak odczuwam, *Katarzyna* moja nie jest tak piękną, a co ważniejsza jednolitą, ażeby ją warto było na język polski przekładać, a tembardziej Sowie. A zresztą niech on decyduje sam”.⁸⁾

Serdeczny stosunek obu poetów trwał nieprzerwanie i niezmiennie. W każdym liście swoim Szewczenko dopytuje się o swego kolegę po piórze, interesuje się nim i posyła serdeczne ukłony i ucałowania.⁹⁾ We wrześniu 1855 roku Zaleski przesłał mu portret Sowy. Z tego powodu Szewczenko pisze: „niewiem jak ci dziękować, mój przyjacielu, za ten podarunek. Coś bliskiego, rodzimego widzę w jego dobrej, zamyślonej twarzy. Tak mi miło, tak rozkosznie patrzeć w twarz jego z tą myślą, że widzę w nim szczerego, serdecznego współtowarzysza. Z jaką rozkoszą przeczytałbym teraz jego *Jordana*. Ale jest to marzenie nie ziszczalne. Dzięki ci, stokrotne dzięki za ten serdeczny podarunek. Piszesz, że chciałbyś nas zbliżyć. Daj Boże ażeby wszyscy ludzie byli tak mu blizcy jak ja i ty, — wówczas dopiero zapanowałoby szczęście na ziemi. Pisz do niego i ucałuj odemnie jak brata”.⁹⁾

Wkrótce potem korespondencja istotnie zawiązała się między nimi. W kwietniu (1856), kiedy już się co do Szewczenka rozwiały nadzieje amnestyjne

¹⁾ Piśma str. 9. Treść nie jest wystylizowana dość jasno.

²⁾ *ibid.* 11.

³⁾ Zdaje mi się że nie była przełożoną. Powszechnie znany tylko jest przekład Leonarda Sowińskiego *Hajdamaków* (Taras Szewczenko, studjum przez * z dołączeniem przekładu *Hajdamaków*. Wilno 1861.

⁴⁾ Piśma str. 14.

⁵⁾ *ibid.* str. 16. 19. 21.

⁶⁾ *ibid.* str. 21.

¹⁾ Antoni Sowa: *Fantazja dramatyczna* przez * Wilno 1846.

²⁾ *ibid.* Czytaj przedmowę.

³⁾ Piśma str. 6.

⁴⁾ Piśma str. 8.

rozpacz ogarnęła serce poety. Widział jak trudno jemu wyrwać się „z tego przekłętęgo gniazda“ — i to wywołało straszną depresję. Takim nastrojem technic cały list kwietniowy do Zaleskiego, w którym między innymi powiada: „następną pocztą, jeżeli sił mi starczy, napiszę do Sowy; w obecnej chwili tak jestem wzburzony, tak przygnębiony moralnie, że wprost nie mogę w mojej głowie myśli powiązać, tembardziej napisać coś do rzeczy. Pisz do niego, ucałuj odemnie i życz, jak ja życzę, powrotu do zdrowia i szczęścia“.¹⁾

Na tych serdecznych akordach nie zakończył się przyjazny stosunek obu poetów, nawiązany nad Uralem. Zaleski, Żeligowski, Turno i zapewne wiele innych ulaskawieni zostali i na razie, jakkolwiek nie wrócili do kraju, jednak przez Petersburg zbliżyli do niego i do rodziny. W r. 1857 przyszło wreszcie ulaskawienie i dla Szewczenki, ale znanym i stosowanym zwyczajem nieludzkiem Moskwy, pozwolono mu zamieszkać zdala od Ukrainy — w Petersburgu. Na tem pustkowiu, gdzie Piotr I. przerębywał okno dla nowej polityki — mieszania się w sprawy państw zachodnich, w r. 1858 spotkali się znowu obaj poeci. Nie znamy szczegółów tego spotkania się — szkoda. Szczerłość obu poetów, którzy byli sercem własnego narodu i jego echem, byłaby nam odkryła może to co było w nim i jak biło serce narodu. Spotkanie to musiało być bardzo serdeczne, bo Szewczenko pod dniem 13 maja (s. s.) roku 1858, w petersburskim swoim dzienniku powiada że Sowa wpisał mu następujący wiersz. Przytaczamy go w całości nie bez powodu.

Do brata Tarasa Szewczenki.

Wieszcu ludu, ludu synu,
Tyś tam dumny, boś szlachotny,
Bo u skroń twych liść wawrzynu
Jak ton pień twych smutny, świetny.

Dwa masz wieńce, męczenniku!
Oba piękne, chociaż krwawe,
Boś pracował nie na sławę,
Lecz serc braci słuchał krzyku.

Im zamknięto w ustach jęki —
Ach! i jęk im liczon grzechem!
Tyś powtórzył głośnie echem
Zabronionych jęków dźwięki.

I nad każdym tyś przebolał
I przepłakał nim urodził,
Lecz duch z wyżyn cię okolał,
I duch pierś twą oswobodził.

Smutny wiezszcu! patrz cud słowa!
Jakto słońca nikt nie schowa,

Gdy dzień wszędzie — tak nie może
Schować słowa nikt z tyranów,
Bo i słowo jest też Boże
I ma wiezszców za kaplanów.

Jak przed grotem słońca pryka
Ciemnej nocy mrok i chłód,
Tak zbawienia chwila bliaka,
Kiedy wiezszców rodzi lud.

Ant. Sowa.

Z powodu tego wiersza zadzierzysty literat ruski mnorum gentium, Wasyl Szczurat pragnąc uchodzić w oczach swoich czytelników za głębokiego krytyka, napisał rozprawę p. t. Szewczenko-Żeligowski-Czechot.²⁾ Powoławszy się na dziennik Szewczenka Szczurat powiada: „Wynikałoby z tego, że polski poeta z Litwy — krytyk daje do poznania, że jest w tym talencie coś nie polskiego, — Edward Żeligowski, znany pod pseudonimem Antoniego Sowy, zaznawszy tej samej doli co i Szewczenko, a zatem poznawszy go lepiej niż kto inny, przy spotkaniu się z nim na wolności w Petersburgu poświęcił mu i napisał wyłącznie dla niego powyższy wiersz.“³⁾ Tak wszyscy dotychczas myśleli. A tymczasem maleńkie rozczarowanie — dodaje dostojny krytyk i podkreśla słusznie. Zdaje mu się, że odkrył Amerykę i cieszy się że chwała spadnie na literaturę galicyjsko-ukraińską. Cóż to za powód tej radości? Wielki — Szczurat odkrył, że Sowa w fałszerstwo literackie się bawił i podwakroć oszukał swoich czytelników, ale Szczurata oszukać nie tak łatwo. Cóż się stało? Otóż dostojny krytyk odkrył, że Sowa ten sam wiersz o pół roku wcześniej wydrukował pod tytułem Do poety ludu w zbiorku swoich poezji, które wyszły w r. 1857 w Petersburgu, a do tytułiku dodał: z bułgarskiego. Nie dość tej zbrodni, bo dzięki znanej chytrności lackiej w wydaniu poezji swoich pominął nazwisko Szewczenka i zmienił rymy: zamiast męczenniku — wydrukował mój lirniku, a zamiast tyranów — napisał sułtanów.

Dla tak bystrego krytyka jak Szczurat sprawa jasna: „Żeligowski — powiada on swoim czytelnikom — sfabrykował dedykację Szewczenki i do gotowego już przekładu z bułgarskiego, zmienił tytuł i dodał jedną strofę.“ „Ten fakt — powiada dalej — budzi pewne refleksje co do wartości dedykacji“, ale jako człowiek kochający wolność przedewszystkiem, „pozostawia czytelnikowi prawo rozważyć tę sprawę po swojemu.“

¹⁾ Dilo, dziennik polityczny lwowski z r. 1910, Nr. 118. Feljeton.

²⁾ Wyrazy rozstawione są u Szczurata tłustym drukiem złożone.

³⁾ Piśma str. 23.

Po tem wszystkim, cośmy o wzajemnym stosunku obu poetów pisali, tem brzydszą wydaje się niewdzięczność i nieszczerłość Sowy. Oczywiście, ma tu miejsce słynna „polska intryga“.

Korzystając z wolności, łaskawie udzielonej czytelnikom przez Szczurat, musimy zapytać: cóż to za mistyfikacja? Poco i naco Sowa i Szewczenko oklamywali się wzajemnie, jak nowożytni przyjaciele?

Wszystko, co można było wyczytać „z drukowanego“, wyczytał IMÉ pan Szczurat, a czego nie wyczytał — nie domyślał się. A cała sprawa przedstawia się bardzo prosto i jasno. Wiemy, że z Nowopetrowska Szewczenko posyłał Zaleskiemu „materje welniane“, a kiedy wysyłał próby swojej skulptury pisał: „Byk z Kirgizem“, „Trio“ i t. p. Szczurat, jakkolwiek posiada bujną fantazję, ani rusz domyślić się nie może dla czego to wszystko!

Przejdźmy teraz do wiersza inkryminowanego. Sowa napisał go na wygnaniu, pod wpływem korespondencji z Szewczenką — i nie posłał — zawahał się. On już wyjeżdżał, już opuszczał wygnanie, a Szewczenko zostawał jeszcze. Czyż taki wiersz nie byłby obu zatrzymał w niewoli? Jak pan myśli, panie krytyku? A co do przekładu „z bułgarskiego“ i dodatków — niech się pan uspokoi. Tak się zawsze robiło — dla cenzury. Dla uspokojenia pańskiego sumienia powiem, że cenzor rosyjski, znalazłszy raz w artykule politycznym przy rzeczowniku „krowa“ przymiotnik „rosyjska“, zamienił ten przymiotnik bardziej dźwięcznym — „hiszpańska“. Dla czego? zapytuje autor. Ja wiem dla czego — odpowiada cenzor — pan piszesz „krowa rosyjska“, a myślisz o Katarzynie III! Jakie są na to argumenty.

Sądzę, że po tych kilku słowach p. Szczurat zrozumie dla czego Sowa zmienił „męczennika“ na „mój lirniku“ i dla czego w dzienniku Szewczenki zapisał wiersz bez skrótów. Czyż nie prościej i uczciwiej byłoby przypuścić, że Sowa sam przyniósł swoje *Poezje* Szewczence, wytłumaczył inkryminowane ustępy, a ów wierszyk, przeznaczony dla poety, własnoręcznie mu na pamiętkę wpisał?

I tak całą tę zagadkę, której przy wielkiej bystrości krytycznej i złośliwości, nie mógł zrozumieć Szczurat, rozwiązuje — „krowa hiszpańska“.

Z takim przekręcaniem faktów, mających szlachetne znaczenie, wypadnie jeszcze raz spotkać się nam na drodze stosunków Polaków z Szewczenkiem.

Już z tych kilku słów, któreśmy powiedzieli, wyraźnie zarysował się stosunek wzajemnej życzliwości. Wątpić należy czyby on przeszedł z granic przyjaźni do czynu. Polacy byli niepoprawni: nie mogli nie myśleć o ojczyźnie i pracować dla jej podźwignięcia. Czy Szewczenko miał jakie zamiary

i plany? Trudno odgadywać — nigdzie się one nie ujawniły. Siedział tymczasem w Nowopetrowsku, snuł marzenia artystyczne i dzielił się pomysłami z Zaleskim. „Niedawno przyszła mi myśl — pisze — uscenizować przypowieść ewangeliczną O Synu marnotrawnym, współczesnego rosyjskiego społeczeństwa. Idea sama przez się głęboko pouczająca, ale ten temat czysto moralny wywołał w mojej wyobraźni wstrząsające obrazy. Są one już w najdrobniejszych szczegółach wykończone — w mojej wyobraźni, i gdybym tylko miał najluchsze środki, zginął bym zapracowawszy się. Tak więc, jestem do pewnego stopnia zadowolony, że mi brak środków do pracy. Pomysł jeszcze nie dojrzał; popełniłbym nie jeden błąd. Będę więc nosił w sobie jak matka dziecko ten pomysł z jego nieskończenie różnorodną ilością tematów szczegółowych, a na wiosnę, pomodliwszy się Bogu, przystąpię do pracy. Jeśli Pan Bóg pomoże mi wykonać ten pomysł, to się zrobi dużej objętości album, a gdyby mi udało się wydać go kiedykolwiek, to byłby to szczyt mego szczęścia i pragnień. Jeśli zaś, Boże uchowaj, nie uda się — umrę; idea sama zbyt silnie zrosła się z moją duszą.“¹⁾

Prawdopodobnie Szewczenko nie rozpoczął nawet tej pracy, gdyż wiosna przyniosła mu wolność, która całą kolonję polską niesłychanie ucieszyła. I Szewczenko odżył. Jeszcze nie było absolutnej pewności urzędowej, ale prywatnie już było wiadomo, że chwila wolności niedaleka. Wiadomość o tem z dwóch stron nadeszła: od żony hr. Tołstoja, vice prezydenta Akademii sztuk pięknych w Petersburgu i od Bronisława Zaleskiego. Z tego powodu napisał do niego Szewczenko entuzjastyczny list. Uważając uwolnienie swoje za rzecz prawie pewną, zaczął „budować na tym pięknym fundamencie“, a z zamiarów swoich zwierza się przyjacielowi. „Pierwszy poemat — introdukcja: pożegnanie stepu, gdzieś tyle lat cierpiał, pożegnanie innych, których kochałem, potem Moskwa i — pauza.“ Zamiast jechać petersburską żelazną koleją — pisze dalej — pojedę zwykłą pocztową drogą Smoleńską albo Wileńską i przyjeżdżam wprost do Raczkiewicz.²⁾ Tu rozpoczyna się druga część poematu: widzę się z tobą, płacze, uradowany całując ręce twojej szczęśliwej matki, całując twoje uszczęśliwione siostry, czarnookich i jasnookich siostrzeńców i w objęciach zupełnego szczęścia odpoczywam, powtarzając wiersz wielkiego poety:

Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanio!³⁾

¹⁾ Piąta str. 28.

²⁾ Majętność rodziców Bron. Zaleskiego.

³⁾ W oryginalnym liście, wiersz ten napisany po rosyjsku.

Zamiast Arabji, będę mówić o Litwie. Wypocząwszy po tej wielkiej radości, siłą prawie wrywam ciebie z objęć matki i pewnego pięknego poranku modlimy się razem przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wilno i memu sercu drogie wspomnienia. Ze stolicy Litwy warszawską szosą pędzimy wprost do Akademii Sztuk pięknych, a nasze zupełne szczęście uzupełnimy dwoma latami studjów, zamknąwszy się w pracy jak w celi klasztornej“.

„Drugi zamek na lodzie, jest to poemat o tym samym temacie: wstęp, Moskwa — jak wyżej, ale zamiast pocztowej drogi Smoleńskiej, kolej do Petersburga i ja — tam. Mieszkanie malutkie o dwóch pokojach, siedzę tam, studjuję aqua tinta i czekam ciebie, mego najserdeczniejszego przyjaciela. Ty przyjeżdżasz, mieszkamy razem bardzo skromnie, ubogo prawie, a w malutkich pokojkach pracujemy bezustanku, uczymy się i rozkoszujemy się naszą nauką. Dwa lata niepostrzeżenie przelecą nad nami i my oto, już jako skończeni artyści znowu oglądamy Raczkiewiczę, całujemy twego ojca, matkę, śród czarnookich i jasnookich twoich siostrzeńców“.) W końcu

tego listu dodaje: „ach, jakbym pragnął porozmawiać z tobą o Kosmosze i słuchać, jak ty czytasz Pieśń Wajdeloty“.

Los psotnik pokrzyżował te plany. Szewczenko miał marszrutę wyznaczoną przez władze: musiał jechać wprost do Petersburga i nie rychło mógł stamtąd wyrwać się, aby kraj rodzinny oglądać ostatni raz — przed śmiercią.

Serdeczne i życzliwe stosunki Szewczenka z Polakami bynajmniej nie wyczerpują się naszym szkicem. Z braku materiału, zdołaliśmy objąć kilka zaledwie nazwisk. Wiemy tylko, że Zieliński i Turno wrócili do kraju, a Turno mieszkał nawet i życie zakończył w Warszawie. Za pośrednictwem Niemierycza, sekretarza dawnego Przeglądu tygodniowego, który był spokrewniony z Turno, zdołałem wydobyć od staruszka kilka szczegółów wspólnego z poetą ruskim pobytu za Uralem, ale notatki te, z powodu licznych wojennych peregrynacji zatraciły się i odszukać się nie dały.

1) Piśma str. 33. 34.

(D. N.)



Ryminek — E. H. Nadelman.

MISCELLANEA.

Stanisława Brzozowskiego: Módl się i pracuj.

(C. D.)

Twórczość Brzozowskiego była — dosłownie — zawieszona w próżni, jeżeli chcemy przez to określić jej stosunek do naszego społeczeństwa. Brz. był najtypowym okazem takiego Deraciné, który najistotniejszy i najgłębszy swój indyferentyzm, — organiczny prawie — chce nakryć najgłośniejszym frazesem biologiczno-nacjonalistycznym. Historyczne myślenie i rozumienie biegu zdarzeń, narzuca pewne normy naszemu rozumowaniu, ogranicza jego dowolność w stawianiu postulatów. Tembardziej jeżeli przyjmujemy, że twórczość społeczna musi oprzeć się o taki fundament, jakim jest konkretna — w danym wypadku — historyczna rzeczywistość. Organizacja wszystkich klas społecznych, ich zbiorowa świadomość, poczucie wyłączności interesów, zakreślenie celów i sposobów walki nie jest dziełem jednostek, ani systematem ideologicznym, narzuconym z góry. Elementy organizujące wypracowują się swobodnie, są wynikiem warunków indywidualnych i zbiorowych, które na rozmaitych poziomach krzyżują się ze sobą, wykluczają lub sumują i stwarzając jakąś obiektywną przeciwną, atają się specyficzną formą świadomości klasowej lub zbiorowej. Niewątpliwie, — ideologia uświadomiona mniej lub więcej konstrukcyjnie zaczyna w pewnym momencie autonomicznie oddziaływać na środowisko, z którego wyszła, ale nie przestaje przez to odgrywać roli jednego z elementów tego środowiska. Organizuje i jest organizowana. Brzozowski zbyt wielkie przywiązywał znaczenia do tej czynnej formy działania ideologii organizującej i nie widział, że ona także na swój sposób nie przestaje być nigdy materialem, na którym życie zmian dokonuje. Analizę ideologii inteligencji, o ile chodzi o jej oddziaływanie na kształtowanie się świadomości mas ludowych, przeprowadził Brz. bardzo zrećnie i przekonująco. Ale nie dostrzegł i źle zrozumiał źródła tego oddziaływania. Teza jego, że psychika inteligencji zawieszona jest w próżni, że stanowi odwrotność wytwórczego życia, że jest zaprzeczeniem konkretnych i twórczych jego wartości, stanowi cudeczną hypostazę argumentacji Lasserra w odniesieniu do psychiki romantycznej. Brzozowski nie ukrywa zresztą genezy swoich określeń, utożsamiając niejako psychikę inteligenta, z psychiką romantyka i racjonalisty. Są to dla niego pojęcia sprzężone, zjednoczone wspólnym złudzeniem o istnieniu obiektywnego Rozumu, dla którego świat cały jest tylko wyrazem immanentnych praw myślenia.

Nie sądzę, aby ten zasadniczy atak na współczesnie panujący typ umysłowości europejskiej był w założeniach, a co zatem i w konkluzji, właściwie przeprowadzony. Punktem wyjścia krytyki i analizy, mającej swe historyczne i społeczne uzasadnienie, może być tylko nasza, współczesna zbiorowość społeczna. Jest rzeczą oczywistą, że pod kątem widzenia całego szeregu postulatów metafizycznych, czy nazywać się one będą etycznymi lub religijnymi, czy zmierzają będą do urzeczywistnienia świata pracy, idei lub rozumu, psychika inteligencji może we większym, mniejszym lub żadnym zgoła stopniu nie zaspakając naszych najbardziej osobistych pragnień lub skłonności. Wytaczając przeciw niej zarzuty ontologiczne — jak to z wrodzonego sobie popędu czynił stale i konsekwentnie Brz. — nie możemy zapominać o tem, że w analizie naszej operujemy całym systematem myślowym, że jako nowa inteligencja względnie nowy etap uświadomienia ideologicznego, przeciwstawiamy etapom minionym inne wartości, inne usprawiedliwienia, które muszą się konkretnie i społecznie uzasadnić. — Jakże uzasadnienie znalazł Brzozowski, aby usprawiedliwić swój stosunek do rzekomego parazytyzmu

myśli inteligencje? Co przeciwstawiał jej w żywym organizmie społecznym, jakie wymieniał wartości, dla których ideologia klas intelektualnych była zbrodnią i zaprzeczeniem? Na czem, jako na organicznej konkretności, chciał oprzeć nowe formy psychiki myślenia i twórczości duchowej? Brzozowski wogóle nie dotknął tego zagadnienia. Ograniczył się tylko do ogólnikowego frazesu o społecznosci wolnych robotników, wytworzących w swobodnej (?) pracy wszystkie wartości, ale ani na chwilę nie stanął na stanowisku konkretności społecznej. Ta społeczność wolnych robotników była w jego systemacie zupełnie wyraźnym zresztą mytem społecznym, stanowiła system obrazów, mający skoordynować wzruszeniowe stany jednostek w celu wykonania określonego, wspólnego wysiłku. Przeprowadzenie więc krytycznej analizy psychiki inteligencje jest w stanowiska tych myślowych społecznych, stanowiło jedyną drogę, jaką powinien był obrać Brzoz. w tej aferze zagadnień. Tak też uczynił Sorel. Wynikłaby z tego, jak to już poprzednio zaznaczyłem, krytyka czysto pragmatyczna, o motywach politycznych, w której nie chodziłoby o zagadnienia metafizyczne, lecz o sprawy taktyki... ducha, poruszania się z większą lub mniejszą skutecznością na linii zamierzonego mytu. Ale Brzozowski przyjmuje zakreślony przez siebie myt, jako już istniejącą, konkretną społeczność. Zapomina o tem, że myśl w żadnych warunkach nie staje się niezależną od życia grupy ludzkiej, która ją wytworzyła, że nigdy nie wyraża innego, jak pewną sumę działalności ludzkiej, pewną sumę pożytkanych, wytworzonych właściwości ducha ludzkiego. Brzozowski przyjmuje swój świat myślowych społecznych, jako już gotowy istniejący świat i narzuca go całej współczesnej psychice intelektualnej. Oczywiście, że rezultatem takiej metody musiałoby być wykazanie nieprawdopodobnego zgoła rozdźwięku i improduktywności wszelkiej dotychczasowej twórczości ducha. Ale gdzie jest zrozumienie i ogarnięcie historii człowieczej, gdzie doszukiwanie śladów narastania twórczości drogą codziennego pracowitego wysiłku?

Pomijam już sam problemat logiczny — zakresu i treści — jaki nastęrcza nam pojęcie psychiki inteligencje. Inteligencja nie jest klasą społeczną, ani zawodową, ani polityczną, nie jest wogóle żadną jednostką zbiorową; stanowi ona raczej pewien stan umysłu i skłonności duchowych, w których świadomość zbiorowa znajduje swój własny ideologiczny wyraz. Inteligencja może zaprezentować rozmaite klasy i społeczności i nie tylko nie „jest zawsze oderwaną od procesu wytwórczego“, lecz przeciwnie, zawsze go w pewnym stopniu wyraża. Niewątpliwie. Współczesna, względnie już miniona, kultura umysłowa 19 w. miała w sobie wiele cech dekadencjnych. Można skonstruować charakterystyczne analogie między kulturą rozpadającego się cesarstwa rzymskiego a kulturą Europy w XIX-go. Tu i tam jesteśmy świadkami kapitalnej pracy ideologicznej, wykazującej istnienie sprzeczności między systematami pojęć moralnych, prawnych, politycznych i ekonomicznych, a wytwarzającą się swobodną nową społecznością. Kościół katolicki, wprowadzając u schyłku cesarstwa kosmopolityzm odczuwania i wiary, braterstwo duchowe synów kościoła, rozwałił pojęcie civitatis i familiae. Ideologiczna praca 19 w. wykazuje podobne rezultaty. W okresie samowładnego panowania indywidualizmu, — który w życiu ekonomicznym występuje jako manchesterizm i szkoła liberalna, w życiu artystycznym wyraża się rozbięciem wszelkiej stylowości i ucieczką w subiektywne określenia motywów i przejawów sztuki, w dziedzinie prawa głosi równość wszystkich wobec prawa, również będącą najidealniejszym jej zaprzeczeniem, — w okresie rozpoczęcia ideologiczna praca warstw reprezentacyjnych kolektywną wytwórczość, wykazywał całą fikcyjność i wewnętrzną sprzeczność panującego ustroju. A już obecna wojna, — zmuszając organizacje państwowe, oparte na własności indywidualnej do wpro-

wadzenia tak radykalnych jej ograniczeń, że dochodzą nierzadko do konfiskaty na rzecz zbiorowości, — wykazała, na jak kruchych uzasadnieniach faktycznych opiera się cała panująca jeszcze ideologia. Życie społeczne wytwarzało w codziennym wysiłku w ciągu 19 w. nowe formy swego bytowania, warunki utrzymania się i rozwoju; ukazują się one wyraźnie przy analizie metod pracy zbiorowej, pojęć prawnych i nowo powstających instytucji. Walka, rozgrywająca się w łonie konkretności społecznej, w której nowe typy życia, instytucji prawnych, muszą wywalczać swoje istnienie większą wydatnością pracy, znajduje siłą rzeczy swą reperkusję idealną w aferze pojęć ideowych. Na wszystkich liniach skrzyżowania się tych prądów, na wszystkich poziomach życia społecznego spotykamy ideologów, stojących na okopach św. Trójcy i ideologów nowej społeczności. Jedni i drudzy stwarzają dla pewnych ginących lub zwyciężających konkretności społecznych ideologię apologetyczną lub obrazoburczą, ale ani jedni ani drudzy nie są pasożytami życia społecznego. Są oni, z punktu widzenia zbiorowości, konieczną jej funkcją, podobnie jak koniecznym rezultatem twórczości społecznej jest narastanie nowych form jej ustroju. Nie mogą uwzględnić w tym schematycznym przekroju zdarzeń, wszystkich odchyłań psychiki inteligencji. Ale jest rzeczą niewątpliwą, iż istnieje typ ideologiczny, o charakterze kompromisowym, który chce pogodzić i powiązać ze sobą zwalczające się wzajemnie ideologie, a formom przejawu świadomości zbiorowej chce nadać pewną ciągłość, continuity, unikając gwałtownych przeskoków, jako dla celności zbiorowej rzekomo groźnych. Do tej klasy ideologów — na płaszczyźnie politycznej, zaliczyć można radykalnych socjalistów we Francji, radykalne dobromieszczaństwo we wszystkich państwach zach. europejskich, w socjalizmie — ruchy reformistyczne i rewizjonistyczne; na płaszczyźnie estetycznej jest dla mnie reprezentantem typu ideologii pośredniczącej, naturalizm francuski Zola, niemiecki Hauptmann, realizm psychologizacyjny Ibsena. Posuwając się dalej na tej drodze możemy odnaleźć odpowiedniki ideologii kompromisowej we wszystkich dziedzinach psychiki zbiorowej i indywidualnej.

EMIL BREITER.

(C. D. N.)

WYCINANKI.

„Gazeta Kościelna” Lwów 1918. (Korespondencja z Poznania X. N. Cieszyńskiego.)

„Zdrój”... bluzna na moralność. Od jesieni ub. r. tryska w grodzie Przemysława z nieznużonym rozpędem „Zdrój” artystyczny i kultury polskiej, ukazuje się najpункtualniej w świecie czasopiśmiem literackim, mające wybitnych współpracowników z całej Polski.“

„Jaką kałużą bryznął „Zdrój” w drugim zeszyście kwietniowym, to już przechodzi pojęcie, zwłaszcza nasze uczucie wielkopolskie. Najpierw odróżnia okropne, pornograficzne obrazy, które bliżej opisywać, wzdryga się pióro moje. A co może gorzej, to wstępny artykuł, urągający zasadom moralności. Napisał go Duńczyk z Reykjavik, Godmundar Kampan; (ma być Godmundur Kampan — red.) — zbieramy z niego najszkodliwsze chwasty i podajemy w luźnej cuchnącej wiązance...”

„I przeciwko takim zdaniom, ile nam wiadomo, żaden z naszych wpływowch dzienników głosu sprzeciwu nie podniósł dotąd, także zdania sączą się w koła naszej inteligencji i niby inteligencji i jakkolwiek strumyki to tylko, wywołają spustoszenia, równające się spustoszeniom powodzi.“

Czas założyć miesięcznik kulturalny, na katolickich opartych podstawach — a przynajmniej zgodny z katolicyzmem!“

Wacław Sieroszewski: „Matężństwo”. wyd. II.

Większa nowelka, czy szkic powieściowy. Jest protestem przeciw uświęconemu formom pojęcia małżeńskiego. A „małżeństwo” tu opisane — to „wolna miłość” Stefana Mirskiego i Zofii, — na Jakutach.

X. H. W.

„Jeszcze o „Krzyku” Przybyszewskiego”. (X. N. Cieszyński.)
„...My w Poznaniu nie dziwny się już Przybyszewskiemu — znamy go ze „Zdroju”... (czas był! — red.)

„Maakt.” Kraków 1918. „Z Sonectków wakacyjnych” Stefana Breyera urywek jeden z wielu:

„Już doprawdy wybyłem się nadziei wszelkiej,
„aby się gdzie potknęły pani pantofelki;
„aż w potrójnym koziołku fiklała Pani w kwiatki
„więc z radości pękałem, jak sukni zakładki.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Panu M. L. w O. „Z bólem serca donoszę...“ Listów „z bólem serca” otrzymaliśmy już wiele; na „Zdrój” jednak wpływu one mieć nie mogą. „Powitanie radosne” powstania pisma naszego niechaj będzie Panu życia miłym wspomnieniem, a całoroczną prenumeratę trzeba już przeboleć.

Pozwól Pan jednak, że słówkiem zareagujemy na niektóre pańskie troski w liście wyrażone.

Piszeez Pan: *Nie dziwił się, że Bunt wywołał przeciwbunt „mydlarzy”, następstwem... zachwianie bytu dalszego „Zdroju”. Prąd zbuntowanych artystów — mam szczególnie na myśl malarzy — nie będzie zapewne skłonny do kompromisu, a szkoda, bo droga wyjęcia możeby się znalazła...“*
„Nie jestem „mydlarzem” w pojęciu „Buntu”, lecz żadną miarą nie mogę poskromić wstrętu, jaki we mnie drzeworyty wzbudzają.“

Istotnie — i my nie dziwny się przeciwbuntowi, o którym Pan wspomina, nawet nie dziwny się, że ów przeciwbunt ujawnia się w intrygach, oszczerstwach, anonimach, denuncjacjach (i to wszystko w imię moralności) — zamiast w rzetelnym, jaanem a otwartym kwestji postawieniem, jak to Pan zechciał uczynić w liście swoim, z której to przyczyny Panu odpowiadamy. Czy jednak wstręt do drzeworytów, który ujawnił się u Pana, nie ośmieli całej czeredy przeciwdrojoowych ujadaczy, że zechcą identyfikować się z Jego szanowaną osobą?...

I nas przesładują różne wstręty, ale nigdy wstręty do budującego się życia, ale jedynie do zgnylnych odpadków, któremi tyłu ludzi przystrajac się lubi, zapowietrzając atmosferę zbiorowego życia naszego.

Kompromisu Pan żąda? — W jakimże celu? — Czy — aby wstręt słów do drzeworytów o połowę zmniejszyć? Ależ w takim razie musielibyśmy drugą połowę wstrętów wziąć na siebie, a zupełnie ofiary tej przejść nie zamierzamy.

Kompromis jest to łatwa rzecz, jak łatwa jest każda kapitulacja. Kompromis nadto szacherką jest, a czyż wolno kupeczyć przekonania i wierzeniami?

Przedewszystkiem mylisz się Pan zasadniczo, przypuszczając, abyśmy skłonni byli do kompromisów dla utrzymania pisma naszego. „Zdrój” nie istnieje na to, aby istnieć (co w naszych warunkach kompromisami nader łatwo osiągnąć); ale istnieje na to, aby rozerwać tamy odgradzające ludzi od myśli twórczej, aby pozrywać zardzewiałe łańcuchy społecznych paragrafów, w które skowano duszę ogółu naszego; istnieje „Zdrój” na to, aby poprzez grzy zburzonej tamy i poprzez strząpy pozrywanych łańcuchów przerzucić snop z duchów twórczych rozdzającego się światła ku tym, co za światłem tęsknią...

Kompromis rzeczą słabych jest, my zaś moc czujemy.

Mamy moc budowania i równoczesnego gotowania mięsca dla naszej budowy. Miejsca potrzebujemy, tego miejsca, które całkowicie zajęliśmy dla martwych formułek życia. Dla tego budując, rozbijać musimy, acz bolesne to i niekiedy wstręty wywołuje. I z całą pewnością miejsce wasze posiadziemy i na niem nasz dom zbudujemy — my, albo następcy nasi.

Jest to nieugięte parcie siły, której nie wstrzymują starcze ramiona.

Jakoż to więc mamy do kompromisów się uciekać?...

Jeśli zaś chodzi o szczegóły listu pańskiego, które obracają się głównie dookoła drzeworytów w „Zdroju”, to nie dziwimy się bynajmniej niezrozumieniu sztuki dzisiejszej, ale dziwimy się, że Pan zdaje się ulegać błędowi powszechnemu i nie dopuszcza możliwości tej, iż niekiedy winy po stronie dzieła sztuki szukać należy, ale może spoczywa ona w widzu. Wszelkie nieporozumienie między dwiema istotami polega na istocie jednej z obu; każda zazwyczaj próbuje winę złożyć na barki drugiej; jest to ludzkie, ale nie przesądza słuszności.

Kto zaś szczerze szuka porozumienia, winien przynajmniej dopuścić tę możliwość, że przyczyna złego tak samo w nim, jak w stronie przeciwnej tkwić może; a to już byłby pierwszy krok naprzód.

Postąpiwszy w ten sposób ułatwia sobie widz dalsze poszukiwanie i stopniowo odalaniać się zaczyna horyzonty; w krótkim czasie zacięty nawet przeciwnik nowych sztuki przejawów przekona się, iż to co ku jego przerażeniu zjawilo się za przyczyną „Buntu” w ciśniecie kole naszych świadomości, w świecie szerokim wysoko jest cenione jako potężna zdobycz twórczej myśli ludzkiej, że przelamało już zapory i wiedzie całe rzesze wielbicieli swoich w jasną przyszłość.

Ale zbyt daleko doprowadziłyby nas tu dalsze rozważania; ku temu trzeba szeregu obszernych traktatów, które też „Zdrój” daje i w dalszym ciągu dawać będzie. Tu zwróćmy tylko jeszcze na jeden szczegół uwagę. Jak ogromna większość czytelników „Zdroju”, tak i Pan — nie pojąwszy, ani wyczuwszy wielu wartości sztuki dzisiejszej — patrzysz na drzeworyty w „Zdroju” zewnątrz, technikę jeno mając na oku. Zdecydowanie linii, szerokość rzutu plam czarnych i białych nie przypomina Panu niczem technik rysunkowych doby minionej. Zwykliśmy jeno

na doświadczonych raz wrażeniach budować, wyłączając możliwość innych. Oko nienawykłe widzi więc tylko chaotyczne linie i plamy i nie umie ich powiązać. To wszakże nie może być probierzem wartości dzieła sztuki.

Jakim zaś kitem połączyłeś Pan „Bunt” z określeniem „mydlarze” i jakim kunstem w jedno złączyłeś „Bunt” z „Zdrojem” — pozostawmy na uboczu, a wazytkim, którzy tak taknie wyczekują upadku „Zdroju” uczynić musimy nieprzyjemność zapewnieniem, że na upadek ten jakoś zanieść się nie chce mimo usilnych zabiegów zwolenników zastoj społecznego.

Zależy nam na czytelnikach, którzy z zrozumieniem i odczuciem głębokim odnoszą się do sztuki — bez względu na jej szkoły, kierunki itd.

Zależy nam nie mniej na czytelnikach, którzy z pomocą pisma naszego pragną wejść w posiadanie przedziwnych sztuki tajemnic — na innych zależeć nam nie może.

Czy jednak słuszne jest pozbawić się artystycznej rozkoszy czytania tak wielu przepięknych utworów, które „Zdrój” daje, dlatego, że są tam ryciny, które nie odpowiadają smakowi czytelnika — zechce Pan sam osądzić.

Pani R. R. w W. Obraz p. t. „Anioł życia”, którego reprodukcję daly „Maski” w zeszyte 22, istotnie jest dziełem Segantini'ego, jak Pani przypuszczasz, nie zaś dziełem Hodlera, jak podają „Maski”. Tajemnica przykrej tej pomyłki polega naszym zdaniem na tem, że „Maski” zwykle nie posługiwac się oryginalnymi płytami, wziętymi bezpośrednio z dzieła sztuki, ale reprodukcjami z reprodukcji różnych czasopism zagranicznych. Tak więc znajdujemy szereg reprodukcji z dzieła wydanego przez Kandlinsky'ego i Marc'a p. t. „Der blaue Reiter”, a ostatnio z wydawnictwa periodycznego „L'Art et le Beau” (Librairie Artistique Internationale. Paris). Rocznik 4. Nr. 5.

Otóż zeszyt trzeci wydawnictwa tego zatytułowany jest: „Hodler et les Suisses” i zawiera przeważnie reprodukcje dzieł Hodlera, a obok niego także Amiet'a, Boss'a, Württemberger'a (które to reprodukcje zreprodukowane zostały w „Maskach”) wreszcie Segantini'ego, który Hodlerem nazwany został, ponieważ też jego imieniem nazwano numer 3. wydawnictwa, z którego czerpią „Maski” swoje ryciny.

„Zdroju” zeszyt 6 tomu IV. poświęcony będzie twórcom francuskim.

Drugi Wieczór „ZDROJU”

Adam Bederski: „J. A. Rimbaud”.

Czytanie utworów

(Norwid, Meyrink, Bederski, Olwid, Tuwim).

Pieśni

(śpiew Miry Ziełińskiej).

Poznań — 30 sierpnia 1918, godzina 8 1/2, wieczorem.

Sala „Stowarzyszenia Artystów”

Pl. Wilhelmowski 14 a.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Przedstawiciel redakcji na Austro-Węgry:

Jakób Gszwind, Wiedeń. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu.

Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań — Posen. Odbito w tłoczni „Pracy” w Poznaniu.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: **Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego**

☛ nabyć można za pośrednictwem naszym ☛

REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

„OSTOJA“ Spółka Wydawnicza w Poznaniu

poleca jako nowość

Adolfa Nowaczyńskiego

Szkice literackie

Cena mk. 9.—

Nabyć można we wszystkich księgarniach.

„POLSKA“

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI, POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIATOWE,
GOSPODARCZE, SPRAWOM LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz na wszystkich pocztach w okupacji niemieckiej.

(Skrzynka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk., półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk. w okupacji niemieckiej, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal. miesięcznie w okupacji austriackiej.

MASKI

Czasopismo ilustrowane, poświęcone literaturze, sztuce i satyrze ❖ ❖ ❖

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: **KRAKÓW, Wojska 1 19**
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 36 kor. — rocznie 75kor.

Druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniem 1. lipca druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tetmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skalnego Podhala.”

Na Poznań i W. Ks. Poznańskie główne zastępstwo sprzedaży „Masek” objęła Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu.

S. KAŁAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pan		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Koźnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Koźnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole

TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.

POLONIA Księgarnia Nakładowa
i Komisowa

Lausanne. Maison Kursaal, Szwajcaria

przyjmuje wydawnictwa we wszystkich językach na rachunek komisowy oraz dostarcza wszelkich wydawnictw i czasopism zagranicznych w językach polskim i obcych.

Zamówienia wykonywa się starannie i szybko.

NIEZNANE PISMA

—||| **NORWIDA** |||—

UKAŻĄ SIĘ NA ŁAMACH „ZDROJU”
W PAŹDZIERNIKU R. B.

Pro arte et studio miesięcznik warszawskiej
młodzieży akademickiej

Prenumerata roczna z przesyłką 30.— mk., półroczna 15.— mk., kwartalna 7.50 mk.

Cena numeru pojedynczego 2.50 mk.

Przedpłaty przyjmują Gebethner i Wolff (skład główny) oraz inne księgarnie.

Adres redakcji: Złota 8 m. 5.